

Józef Ignacy Kraszewski

Masław Tom 2



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Masław

Powieść z XI wieku.

Tom drugi.

Rozdział I.

Następnych dni w dolinie się nic jeszcze nie zmieniło, nie przybywały siły nowe; te, które nadciągnęły, nie ważyły się bliżej Horodyszczu przystąpić; wewnątrz ciągle się pilno około obrony krzątano. Stary Belina z wałów prawie nie schodził lub po podwórcach się przechadzał, albo do ostrokołów zagładał, na oku ciągle mając ludzi, surowszy dla nich niż kiedy, sam też nie spoczywając prawie. Gdy go głód znużył, szedł wołać, aby mu garnek podano, i tą samą strawą, która dla wszystkich służyła, posilał się stojąc, nawet za stół nie siadłszy. Widok też tego starca i przykład jego zmuszał drugich, by na małym przestawali; szemrać nikt nie śmiał.

Okopy od strony rzeczki i moczarów stały już podsypane, nowym opatrzone ostrokołem, kłody i kamienie na pomostach leżały gotowe ku obronie, a od czasu ucieczki jednego z pospólstwa nad ludem w podwórku czujność była wielka dniem i nocą.

Tymczasem gromady zebrane w dolinie leżały bezczynne, jakby tylko grozić i niepokoić chciały, do niczego się nie biorąc. Kilka szubienic postawili dla zabawki przeciw okopom, krzycząc i pokazując na grodek:

— To dla was!

Na tym się cała ich robota skończyła. Chodzili, śpiewali, Jedli i pili; nocą palili ognie, dniem się puszczali na łowy.

Wszeborowi nie udało się namówić nikogo do wyjścia przebojem; sam on z bratem ani się mógł, ani chciał ważyć. Spytkowej, której ten sposób ocalenia przedkładał, brakło odwagi; słuchać o tym nawet nie chciała. Drudzy się odwracali, gdy mówić poczynał, ramionami ruszając; w Doliwie też krew czasu ostygła, choć uparcie myśli się swej trzymał i powtarzał, że siedzieć na Olszowym Horodyszczu, było to pewne śmierci czekać. Znano Doliwów z tego, że ciągle potrzebowali coś nowego przedsiębrać, dawano im więc wygadać się z jednym, póki by co innego nie wymyślili.

Całą zabawką tych, co stali w dolinie, i tych, co na ostrokołach czuwali, było codziennie wzajemne ujadanie i łajanie. Przychodziła gromadka, stawiała, w boki się wzięwszy, i wyzywała do tej utarczki, w której sobie przewisk i obelg nie żałowano.

Pluto na siebie i pięści pokazywano, szubienicami grożono, na których już dwa psy wisały, czasem kto niecierpliwszy puścił kamień lub strzałę, i noc dawała spoczynek.

Doliwom to życie w zamknięciu jednostajne przykrzyło się co dzień bardziej.

W kilka dni zaczęli namawiać do wycieczki, ofiarując się prowadzić, ale i na to nie było zgody. Minęło już tak dni z dziesięć, a że się po kilka razy na dzień ścierali, u komina siedząc w wielkiej izbie, to z jednym, to z drugim, w końcu się ze wszystkimi niemal poróżniwszy, osamotnieni chodzili i posepni. Spory to były niestraszne, nazajutrz zapominano o nich, rozpoczynano rozmowę na nowo, która się jak pierwsza kłótnią kończyła. Gdy wieczór nadszedł, z nim chłód i ciemność, przywlekali

się oba do cieplejszej izby, siadali pospołu z drugimi, słuchali milcząc zrazu, potem się któremu co gorzkiego wyrwało, ząb za ząb zaczęto się kłócić i swarzyć, i tak wieczór przechodził.

Raz tedy, pono jedenastego dnia, nie zważając na to, że stary Belina, wszedłszy po cichu, stał z tyłu, Wszebor, gdy poczęto narzekać a boleć, że się tak oblężenie ciągnęło, ani było mu widać końca, odezwał się kwaśno:

— Co za dziw! Siedzimy w dziurze jak trusie! Chłopy sobie z nas drwią, nie mają nas za nic. Ba, i prawda! Dawnośmy byli powinni im pokazać, że jaką taką siłę mamy, a przecie się ich tak nie bojemy, żebyśmy nosa za drzwi wytknąć nie śmieli!

— A jak im nosa pokażesz, to ci go obetrą — rzekł Lasota.

— Ech, no! — krzyknął Wszebor. — Żebym tylko dziesięciu ochotników miał

z takim sercem, jakie w sobie czuję, na uczyłbym ja tę zgraję! Na ich szubienicach obok psów oni by mi wisieli!

Kaniowa, który po łosiowym stratowaniu znacznie się już był wylizał i do siebie przyszedł, zawołał:

— Na zadatek dziesięciu, ja z wami!

— I ja! I ja! — poczęli wołać drudzy. — A cóż?

— Ale — rozśmiał się Wszebor, który do Beliny starego ząb miał —

wszystko to daremna ochota, bo nasz wódz a kneź nie pozwoli; woli, żebyśmy tu pognili.

Wtem z tyłu go ktoś ogromną dłonią po ramieniu uderzył, a razem się głos rozległ po izbie:

— Ano, szczęść Boże! Ja pozwalam! Krwi szkoda, ale krew nie woda! Kiedy się Miłości Waszej tak zażądało koniecznie... idźcie!

Odwrócił się Wszebor trochę zmieszany, poznawszy po głosie Belinę, który stał za nim.

— Gorącą krew macie — dokończył stary. — Nabiją wam guzów, to ostygnie.

Idźcie, kiedy chcecie, a rozumnie.

— Pójdziemy! — zawołał, porywając się z ziemi, Doliwa. — Jak Bóg miły, ja słowa dotrzymam! Nie mówiłem na wiatr; com rzekł, tom uczynić gotów, byle ci, co się ze mną ofiarowali, dotrzymali też, a poszli ze mną.

Wszyscy ci, co się wprzód odezwali, poczęli wołać:

— Idziemy! Idziemy! Kiedy wola?

— Kiedy? — odparł, śmiejąc się, gorący Wszebor. — A po co mamy

odkładać? Noc ciemna, jak należy, z wierzchu nie ciecze, czerń się już pokładła spać przy ogniskach. Jakby to dziś gorzej było niż jutro? Chodźmy!

Belina, z tyłu stojąc, patrzył i słuchał.

— Abyście nie myśleli, że Belinom serca braknie — zamruczał odwracając się, Tomko też będzie z wami.

Ode drzwi głos się rażny, ochoczy dał słyszeć:

— Gotowym!

Wszeborowi aż krew zakipiała, rzucił się do drzwi, drudzy za nim do szopy po konie. Ten i ów chwycił z kołka kaftan łuskami naszywany i szłyk nabijany żelazem.

Poczęli pospiesznie przypasywać mieczyki, oszczepów szukać, radzić się czy tarcze brać, czy zaniechać, topory porzucić czy zabierać? bo już onego czasu topór coraz z użycia wychodzić poczynął. Każdemu wolno było ubrać się i uzbroić, jak zechce; czynił też każdy po swej myśli. Kto więcej ufał mieczowi, miecz przypasywał, komu zręczniejszemu było z siekierą i młotem, ten je brał do boku.

Po dworcu rozeszła się błyskawicą wieść o wycieczce. Kto ją zaniósł na wyżki, gdzie jeszcze dziewczęta z kądziołkami u ognia siedziały; tu się wszczął

lament srogi i narzekania! Belinowa nie bardzo syna puszczać chciała, lecz gdy mąż przykazał, wstrzymać nie mogła. Zapłakała tylko po cichu nieboga i poszła łzy otrzeć do kąta. Zdana, zobaczywszy matkę we łzach, rozplakała się też, bo jej o brata tylko chodziło, a może, choć się nie przyznawała i o Mszczuja.

Mszczuj Doliwa wpadł był w oko ładnemu dziewczęciu. Stało się to tak jakoś niespodzianie, przypadkiem. Zbliżył się do niej, pochlebając sobie, że przez nią do Kasi trafi. Zdana nań popatrzała, rozśmiała się, zagadała; zawiązała się dobra znajomość i już teraz spoglądali na siebie tak, jakby się z niej co innego urodzić miało. Co miał Mszczuj biedny robić! Kasia nań patrzeć nie chciała, a ta się ani wzroku, ani rozmowy, ani śmieszków z nim nie wzdrygała. Trudno znowu próżno kochać, zwłaszcza w obłączonym grodzie.

Rozplakała się i wystraszyła Kasia Spytkowa, tak że o mało z tajemnicą nie wydała się przed matką. Wybiegła nawet na pomost ze Zdaną, aby uzbrojonego Tomka zobaczyć! Zapomniała się nieboga, i nierychło dopiero ochłonawszy, do izby powróciła, cichaczem skradając się pod ścianami. Szczęściem, że Spytkowa, opowiadaniem o sobie mocno zajęta, nie postrzegła, co się z córką działo.

Na wyprawę niespodzianą znalazło się z obu Doliwami dwunastu ochotników, chłop w chłop, młodzież sama, gorąca, krzepka, silna, uzbrojona mocno, gotowa choć na tysiące, lekceważącą zgraję, przeciw której ciągnęła jak na łowy. Szli ze śmiechami i weselem w sercach.

U wrót była już wszelka gotowość, aby cicho spuściwszy zapory, odemknąć je i czaty sprawiać, gdyby ścigani wracać mieli.

Sobek, który nigdy pono nie sypiał, przyszedł z radą skuteczną. Konie od gromady na noc spędzane były pod stóg nawiezonego siana, który stał od ognisk w dali. Bartnik ofiarował się podpaść do stada i z cicha je dalej odegnąć, ażeby do pogoni pod ręką ich nie mieli. Wydawało się to trudnym i niebezpiecznym, ale Sobek był już wypróbowany, że się nigdy nie ważył na to, czego dokazać nie mógł.

Puszczono go więc przodem, wysliznął się jak mysz, i zaczekano, ażby stojący na czatach dał znać, że konie się od stogu ruszyły.

Oczekiwanie to niecierplivej młodzieży trochę się długim wydało; już narzekano na bartnika, gdy w końcu tętent biegnących koni słyszeć się dał na Horodyszczu, wrota po cichu otworzono, po jednym wysuwać się zaczęli ochotnicy, a spuściwszy z kopca i ścisnąwszy w gromadę, z krzykiem puścili się cwałem wprost na dogasające już ogniska. Czat nawet około nich nie było, tak się czerń ubezpieczyła. Większa część jej już spała, gdy Wszebor, który na przedzie stanął i prowadził, jak piorun spadł na obozowisko. Popłoch się stał niezmierny, począwszy od tego miejsca, gdzie leżących za bijać poczęto, aż do dalszych i najdalszych ognisk. Przebudzeni porywali się nieprzytomni, nie wiedząc, co się działo, a liczniejszego, niż był, domyślając się nieprzyjaciela. Otoczeni ciemnościami, słysząc krzyki i jęki, ogarnięci strachem, poczęli się rozbiegać, jedni ku lasowi, drudzy ku rzeczce i błotom, inni sami nie wiedząc, w którą stronę uchodzić, i w ręce ochotników się dostając.

Wszebor i Mszczuj, na koniach siedząc, bili, siekli i tratowali, co napadli, toporami wywijając wściekle; inni też im dopomagali dzielnie, a choć szczęście służyło, bo się ona zgraja prawie bronić zapomniała, opamiętali się wkrótce do powrotu. Kilku postronki zarzuciwszy na szyje, Wszebor, Mszczuj, Toporczyk, Tomko zawołali na swoich. Nim się opamiętali popłoszeni, ochotnicy już biegli nazad ku Horodyszczu i mieli czas na przygotowanych szubienicach pochwyconych powiesić.

Stało się to tak szybko, niespodzianie, szczęśliwie, że gdy nazad do wrót przypadli, ledwie oczom wierzyć chciano widząc ich z powrotem. Okrwawione topory, miecze i ręce świadczyły, że się nie darmo chełpili. Tłum ich nawet nie ścigał

po nocy, gdyż znaczna jego część w pierwszej chwili się rozpierzchła i nieprędko wrócić ośmieliła. Nim znowu ognie porozpalali, rozpatrzyli się, obliczyli, Doliwów już nie było.

Wszebor wracał jako zwycięzca, wesół, szczęśliwy, dumny. Witano go, przyklaskując mu, tylko Belina, syna uściskawszy, rzekł stłumionym głosem:

— Nie mogłem wam wzbronić. Daj, Boże, tylko, byśmy krótkiej radości nie opłacili drogo!

Do rana nic nowego nie zaszło, w obozie ruch, krzyk i wrzawa panowały do świtu. Jak na brzask, przyszli ludzie trupy z szubienic pozdejmować, aby ich wstydu nie widział dzień jasny. Z rana, jak byli zwykli, ogni nie rozłożyli, krzatali się tu i owdzie, miotając, kłócąc, a kilku konnych biegło w lasy.

Dzień tak cały minął na pozór spokojnie; wyprawa rozmów i opowiadań dostarczała obfitego wątku. Na dole w wielkiej izbie, na wyżkach, u kądzieli o tym tylko rozprawiano. Zdana się chlubiła bratem, a mówiąc o nim, ni wiedzieć jak wtrąciła czasem słówko o Mszczuju. Czerwieniła się potem sama, oglądając trwożliwie, czy ją kto nie podpatrzył i nie odgadł, i serce jej biło.

Na starym Belinie nadzwyczajnej radości z odniesienia zwycięstwa wcale widać nie było; troska jak zawsze orała mu czoło; chodził po kątach, pilność nakazywał i mruczał.

Może przeczuwał, że między pospółstwem, które na widok jego pokorną przybierało postawę, coś się knuło i gotowało.

Sobek, podsłuchawszy rozmowę, nie spieszył z doniesieniem o niej

gospodarzowi. Ucieczka jednego z tych ludzi zaniepokoiła go i wziął się do podsłuchów gorąco. Widział już od dawna niedobre znaki, wejrzenia kosę, narady pokątne, szemranie, opór bierny, nieposłuszeństwo czasem, niekiedy jakiś wybuch rozpaczliwy, zaraz strachem stłumiony.

Nikogo się tak nie lękano jak starego Beliny; był nieubłagany dla

nieposłusznych, karał srogo, nie przebaczył nigdy. Serce miał miłosierne może, ale bez grozy się tu obejść nie umiał. Gdy nałajawszy starszyźnie, odgrażając się zuchwale, zbiegł jeden, na wszystkich padło podejrzenie; ostrzej się wzięto do pierwszego podwórca, to zwiększyło rozdrażnienie.

Sobek, nic nie mówiąc jeszcze, chodził a podglądał. Chciało mu się bardzo znaleźć tych dwóch wodzów, których nazwiska zapamiętał. Próżne zrazu było staranie, imiona musiały być przezwiskami, dopytać się ich nie mógł nigdzie. Stary bartnik, choć sam wyszedł z tego ludu, dawno już życiem i sercem zupełnie do ziemian przystał, od dziecka im służąc i będąc z nimi. Sprawa ich była jego sprawą.

Nie spokojnie wziął się do tropienia dowódców. Niełatwa to rzecz była; dworskim nie dowierzało pospółstwo, unikało ich, a gdy się który pokazał, milkli wszyscy, spoglądając po sobie, lub zaczęli gwarzyć o rzeczach obojętnych. Stary próżno się tu włóczył, długo udając półgłuchego, półgłuptaszka. Gdzie się pokazał wierny służka, usta się zamykały, oczyma śledzono każdy krok jego. Z twarzy posępnych, wejrzeń groźnych, domyślał się, że nic się tam dobrego nie gotowało. Belina też przeczuwać coś musiał, bo tu zaglądał często i do najmniejszego dotarł kąta.

Gdy Wszebor z ochotnikami nocą wybierał się uczynić wycieczkę, choć to była godzina, gdy zwykle w podwórcach wszystko usypiało, między ludem powstał

ruch, zakipiało po cichu, wszyscy powstawali, rzucając się ku wałom, i gorączkowo przyglądali się, jak się śmiałkom powiedzie.

Sobek skorzystał z tego i z za węgła ukryty podsłuchiwał przekleństwa, groźby, narzekania, gdy na szubienicy trupy się pokazały. Lud ten w oblegających czuł braci, im życzył lepiej, a na zamku oprócz jednego, jawnego nieprzyjaciela drugiego zaczajonego pod bokiem trzeba było strzec się i pilnować. Czerń ta czekała tylko chwili dogodnej, aby rzucić na ziemian i wydać ich w ręce zgrai, a Sobek

chwycił

pewne znaki, iż między pospółstwem na Horodyszcu a oblegającymi było już porozumienie. Parę razy nocą spłoszył rozmawiających zza ostrokołów, do których podkradli się na wały jacyś ludzie. Z każdym dniem rosło zuchwalstwo i jakby niecierpliwość.

Bartnik straszyć nie chciał, ale szukał zręczności, by sam na sam rozmówić z Beliną. Trudno mu go było pochwycić na uboczu i wstrzymać, nie zwracając podejrzania.

Nazajutrz po wycieczce Wszebora, Belina był niespokojniejszy niż zwykle, wysunął się na wał od strony rzeczki i stanął tam zadumany, gdy Sobek, z dala go najrzawszy przybiegł, do stóp mu się kłaniając.

Belina skinął tylko głową, jakby na rozmowę czasu i woli brakło. Już miał odchodzić, gdy bartnik nieznacznie go za poję powstrzymał.

— Miłościwy panie, czasem i małego robaka posłuchać nie wadzi!

— A co tam? — spytał Belina.

— Tam — wskazując ręką w podwórze — tam — szepnął Sobek — jest źle.

Stary popatrzał, czekając objaśnienia.

— Tam bardzo gwarzą i mruczą — mówił Sobek. Zwąchali się bodaj z tymi, co za wałami stoją. W złej godzinie, Bóg niech uchowa, mogą się porwać. Oka trzeba, miłościwy panie, oka trzeba!

Belina pomruczał coś tak niewyraźnego, iż Sobek nawet nie dosłyszał, ręką zamachnął.

— Miłościwy panie, to dla was nie nowina pewnie — dodał bartnik.

— Nie nowina — krótko rzekł gospodarz. Patrzcie i słuchajcie, dobry z was człek. Patrzcie, oczów nigdy dość.

Uklonił się bartnik trochę uspokojony; oba do rozmowy skłonni nie byli, kilka słów starczyło do porozumienia. Złe znaki mnożyły się co dnia, bartnik chodził

niespokojny. Co zajrzał Belinie w oczy, to się na czas uspokoił, a wkrótce potem coś znowu go poruszało. Złe znaki mnożyły się co dnia.

Sobek, jak w lesie i kniei, tak między ludźmi umiał rozpoznawać, którądy iść trzeba było i gdzie zwierza szukać, o ile tu mu zacierano tropy i uchodzono zawczasu. Chytróści zażyć musiał.

Szopa, w której stały konie, jednymi wrotami ku podwórcu wychodziła, na którym lud leżał pokotem i całe dnie spędzał, stękając i gwarząc. Sobek tu sobie obrał na pniaku siedzenie, tak że wrota na pół otwarte go zasłaniały. Kręcił

przewiąsła ze słomy, wiązał maty, dłubał coś nożem z drzewa, po całych dniach udawał tak zajętego robotą jakąś, że nawet nie podniósł oczu. Patrząc jednak umiał, choć się zdało, że nie widział. Trzeba mu było wśród tego snującego się próżniaczo przed oczyma tłumy dopatrzeć wodzów tajemnych. Czuć ich było, a nie widać.

Drugiego czy trzeciego dnia najrzał Sobek barczystego, śniadego, z czarnym, długim włosom, spadającym na barki, chłopca, który ręce trzymając za pasem, z czapką na oczy nasuniętą, włóczył się sobie, nie mówiąc do nikogo, ale na jakiś znak dany przez niego, jedni ustępowali, drudzy się odnosili, inni szli i rozbiegali się po łąkach. Jak Belina po zamku, on nieustannie po podwórzu się włóczył, mało kiedy przysiadł, rzadko usta otworzył, a na skinienie jego posłusznie ruszało się, co żyło.

Dostrzegł raz Sobek, jak ruchem ręki kazał strawę, którą głodny zajadał chciwie, oddać niewieście, co dziecko karmiła, a pokarmu jej w piersi brakło. Biedak, który pożerał głodny tylko co rozdaną zacierkę, ścisnął drewnianą miskę w rękach, zaiskrzyły mu się oczy, lecz nie tknąwszy jej, odniósł i postawił przed głodną. Stało się to, choć słowa nie rzekł do niego, oczyma dał znak tylko. Gdy się dwu z sobą zwaśniło, szli o sąd nie do setników postanowionych przez Belinę, a wprost do milczącego chłopca, który, coś pomruczawszy, spór rozstrzygał.

Spytał Sobek od niechcienia, jak się on zwał, nic mu nie powiedziano, dopiero dzieciak, którego kawałkiem mięsa ściągnął, nazwał go Miśkiem Wiechanem.

Jednego już mając na oku, drugiego starczyńę spodziewał się odgadnąć podpatrując, z kim najwięcej przestawał. Na to nocy było potrzeba. Bartnik miał w naturze, iż musiał się podkraść i śledzić, jeśli nie zwierza, to człowieka. Poszedł

zaraz, kędy się na nocleg kładł Miśko Wiechan. Pewien był, że rady nocą się odbywać musiały. Nie opodal od tego miejsca wśliznął się między leżących, uspiętego udając. Nadzieja go nie zawiodła. Późno w noc przepęłznął drugi, układał

się u boku Wiechana i szeptali z sobą długo. Nic słyhać nie było, twarzy dostrzec nie mógł, bo noc jak przepaść była ciemna, lecz gdy nad rankiem się rozchodzili poznał w nim Sobek człeka, którego po dniu często widywał. Stawał on u ostrokołów jak na czatach i gdzieś patrzył na lasy.

Był to ów Rzepiec, o którym ludzie wspominali, a oby dwaj przewodzili pospólstwu na grodzie zamkniętemu. Sobek już ich odtąd z oczów nie tracił. Do Wiechana, chodzącego ciągle, nie otwierającego ust, przybliżyć mu się było trudno; do Rzepca stojącego nazajutrz zaraz się przysunął. Popatrzyli sobie w oczy, ale jeden nie zagadał do drugiego. Rzepiec, rad się go zbyć, zaraz wzrok odwrócił. Nie pomogło to. Sobek uparcie stał, na lasy też patrzył i stękał. Tak niemal pół dnia bok w bok stali, nie rzekłszy do siebie nic.

Rzepiec był człek mały, czerwonego zarostu, plamistej twarzy, oczu białych, niemłody, straszny jakiś, jak węże pstre, co najgorszy jad mają. Gdy mu się na złość zbierało jak dziki zwierz językiem po wargach wodził, niby się na pastwę oblizując.

Znudziło go widać sąsiedztwo.

— Skąd ty? — zapytał Sobka.

Nic nie mówiąc, bartnik w stronę lasów pokazał ręką.

— Co za jeden?

— Bartnik.

— Pański? Dworak?

— Jaki pański? — począł Sobek. — U mnie panem las był.

Umyślnie więcej nie mówił, żeby się z chęcią wybadania nie wydać. Znowu stękali i patrzali na lasy, aż nierychło ozwał się Sobek do Rzepca:

— Słyszysz? Hę! Długo to tego będzie?

Rudy ramionami ruszył.

— Za co my tu głodem mrzemy?

— Za co? Jaki ciekawy — odparł Rzepiec — bośmy głupi!

Zamilkł odwracając się i oba milczeli znowu. Dnia pierwszego na tym się skończyło, znajomość była zawarta. Nazajutrz stanął Sobek u ostrokołu znowu; zobaczywszy go Rzepiec, jakby plugawe zwierzę napotkał, popatrzał groźnie, plunął i odsunął się precz. Nie zagadał już ni słowa.

Dnia tego właśnie stało się, co Belina przeczuwał i czego się lękał.

Przed wieczorem do izby, w której wszyscy u ognia siedzieli, wbiegł

wyrostek, co za starym Beliną miecz jego naszał, i krzyknął:

— Idą! Idą!

Porwali się wszyscy, a nim mieli czas wystraszono go zapytać, kto i co, już go nie było. Chłopak obiegał tak wystraszony wszystkie izby. Ziemianie, porwawszy się z ław, jak kto stał, na wały pobiegli.

Wieczór był późnej jesieni, mroźny już a pogodny. Za lasami, w łunie pomarańczowej a szkarłatnej zachodziło słońce; niebo zielonawe od dołu, u góry czystym, roztaczało się bladym lazurem. Cicho stały puszcze czarne i brunatne w dali. Z wałów widok na dolinę dla obłązonych był przerażający. Nim nań oczyma rzucili, usłyszeli zapowiedź jego, w powietrzu gwar jakby okrzyków i pieśni, głuchy tętent koni i rzenie.

Z lasów wyciągały gromady tłumnie, jedna za drugą; każda z nich, ujrawszy Horodyszczę, przyszlą zdobycz witała okrzykiem strasznym, który się nagle ze wszystkich piersi wyrывał, a w Horodyszczu

we wszystkich piersiach odbijał. Szli tak jedni pieszo, drudzy konno, niektóre kupy niosąc na żerdziach znaki, pędząc z sobą pobrane gdzieś po drodze trzody i konie.

Gromadka, która na te posiłki czekała w dolinie, witała je, czapki wyrzucając do góry, podnosząc ręce, wyjąc niemal z radości. Ze wszech stron sypało się to mrowie, zalewało dolinę całą, rozkładało się na niej, a gdy poprzednio w dali tylko, nad rzeczulką stali, teraz się sunęli śmiało, niemal pod okopy same. Ryki i wrzaski tej zgrai tysiącznej, coraz wzrastające, śmielsze, szaleńsze, echem jakby szyderskim odbijały się w lesie.

Wrzawą tą przerażającą, jak iskrą w suche drzewo wrzuconą, rozbudzone rycerstwo na Horodyszczu wysypało się wszystkie na pomosty i wały. Z drugiej strony sunęło się pospólstwo ze źle tajoną na twarzach radością. Wiechan i Rzepiec stali na przedzie u ostrokołów, wychyleni na wprost, oczyma śmiejącymi się spoglądając to na swoich, to na garstkę zamkową.

Dolina, gdzie tylko suchą nogą stąpić było można, wypełniła się ludem całą, z lasów tłumy płynęły ciągle jeszcze, coraz gęstsza ścianą opasując Olszowe Horodyszcze. Wśród zbitej gąszczy gdzieniegdzie rozeznąć było można dowódców na koniach, którzy gromadom swym miejsca na obozowiska wyznaczali i zatykali. Było ich kilkunastu.

Znaczniejszy oddział jeden natychmiast się począł ku wałom posuwać, stanął

na strzał i zdawał naradzać. Za ostrokołami też widać było wszystko, co żyło, przypatrujące się w milczeniu. Wołano już tu, że sam Masław nadciągnąć musiał, ale Wszebor, który oczy miał dobre, wyszedłszy, na próżno go szukał i zaręczał, że jeszcze pastuszego syna nie było. Prusaków też i Pomorców, których po pasach i odzieży łatwo rozpoznawano, nie widział jeszcze. Ten to sam był tłum i czerń, co inne grody i dwory zniszczyła, lud pogański z lasów wybiegły, co wywracał krzyże i kościoły.

Stary Belina z innymi wyszedł też na wały, popatrzał długo na wsze strony, stojącemu Wszeborowi pokazał ręką i głową skinął, jakby mówił:

— Ściągnęliście ich sami!

Stali tak wszyscy wpatrzeni w niemym osłupieniu, gdy szmer się wszczął, ludzie z wolna rozstępować zaczęli i przyklękiwać. Z głębi dworca szedł ojciec Gedeon w białej komży, w szytej kapie, niosąc kielich w ręku. Chłopak przed nim niósł wielki krzyż drewniany. Ksiądz, modląc się, wolnym krokiem postępował za nim, zatopiony w sobie, z głową opuszczoną, z powieki przymkniętymi. Szli tak ku wrotom, po stopniach, na pomost za ostrokołem wyniesiony. Szłyki i czapki pozdejmowali wszyscy, niektórzy padli na kolana. Ojciec Gedeon, na pomoście stanąwszy, ręce podniósł do góry z kielichem i hostią poświęconą, oczy ku niebu zwrócił, modlił się coraz głośniej i na cztery strony świata z wolna legnąć począł, jakby tą potęgą złego ducha od grodu odganiał. Białą tę postać, wyniesioną wysoko, i czarny krzyż musieli postrzec ci, co bliżej wałów się posunęli, widzieli ręce podniesione i ruchy ich, poznali, że duchowny to był, który w imię Boga chrześcijan, jak oni zwali, czary czynił.

Czarów tych i cudów obawiali się poganie. Przodowników na widok ten strach ogarnął mimowolny!

Poczęli cofać swe konie i w tył się zawracać, a choć pierzchnąć im wstyd było, na miejscu ustać nie mogli. Jakby przed znamieniem krzyża cofać się byli zmuszeni, poczęli zjeżdżać niżej i wkrótce zniknęli, w tłum się wmieszawszy.

Słońce już było zaszło, cień lasów okrywał dolinę, ostatnie promienie na podniesionym kopcu jeszcze tylko, blado go ozłacając, świeciły. Mrok okrywał

wijące się u podnóża jego gromady. Część ich zaraz do lasu po łam i gałęzie poszła; słyhać było siekiery, potem zabłyśły po jednym rozpalające się ogniska mnogie.

Dymy ich, przyciśnięte wilgotnym powietrzem wieczornym, gęste, gryzące, rozwlokły się ponad rzeczką i łąką całą, otoczyły grodek, legły jak zasłona na tym obrazie groźnym, kryjąc go oczom obłązonych. W dali już mało co rozróżnić było można, czerwone tylko płomyki ognisk migwały gdziegdzie i czarne przesuujące się przed nimi postacie.

Z wałów nie schodził nikt, bo nie mógł oczów oderwać od tej groźby dnia jutrzejszego, walki nierównej. Gwar, śpiewy, wrzawa, jakby urągowisko, dolatywały do zamku.

W izbie niewieściej kądziele stały pod ścianami, wszystkie dziewczęta i starsze niewiasty klęczały ze złożonymi rękami, modląc się i zalewając łzami.

U ołtarza na górze klęczał przed kielichem okrytym ojciec Gedeon, niekiedy twarzą rzucając się na ziemię, to ręce wznosząc ku niebu, to składając je w pokorze.

Klęczącego tu zastała noc z oczami załzawionymi, a gdy powstał na reszcie, oschły były już łyzy i oblicze się rozjaśniło, jakby widzeniem lepszej przyszłości. Starzec, złamany wiekiem, czuł, że był tu powołany jako rycerz Chrystusowy do trudu, nie pozostał więc sam z sobą, ruszył natychmiast ze słowami pociechy zagrzewać serca i rozbudzać męstwo.

Zaledwie obróciwszy się, na pierwszym kroku spotkał starego Belinę.

— Ojcie — odezwał się, schylając do pocałowania ręki jego gospodarz —

pobłogosław mi, pobłogosław nam wszystkim, jakobyś na śmierć idącym błogosławił. Będziemy walczyli, póki sił i żywota stanie, aż pokonamy nieprzyjaciela! Przed sobą go mamy, u siebie go mamy!

— Męstwa! — zawołał ojciec Gedeon. — Nie traćcie ducha! Bóg was nie opuści! Cuda się dzieją! Wojna to nie przeciw wam, lecz przeciw krzyżowi świętemu. Modliłem się, nie wiem jaką sprawą, wstałem pokrzepiony, uspokoiony, że nas ręka Wszechmocnego nie opuści.

Belina ręce podniósł do góry.

O kilka kroków stał za nim, kręcąc coś w palcach, Sobek.

— Miłościwy panie — szepnął, słowo!

Zwrócił się ku niemu gospodarz.

— Dwóch ludzi zamknąć trzeba, ażeby nieszczęścia nie było... Cicho coś szepcząc, odeszli razem.

Belina skinął po drodze na zbrojnych ludzi, aby szli za nim, przeszli tak w pierwsze podwórze.

U ostrokołu Wiechan i Rzepiec, stojąc, szeptali coś i patrzali na gromady.

Sobek na nich ukazał. Gdy zbrojnych w tłumie spostrzeżono, szmer się wszczął, obudzeni ruszyli się dwaj starsi niespokojnie. Tknęło ich może, iż po nich wysłano; Wiechan rzucił się, chcąc ostrokół przeskoczyć, Rzepiec puścił uciekać, schwycono obu. Powstał krzyk i szamotanie się, cisnął się lud dokoła wrząc, miotając się, cisnąc, ogarniając ludzi zbrojnych i Belinę.

Bliżsi zaczęli się upominać o swoich, zuchwale za suknie targając starego; pięści podnosiły się groźnie; wrzawa rosła. Belina od wyrostka miecz tylko wziął, nikomu nie odpowiadając słowa.

— Do jamy z nimi! — zawołał. — Bez sądu i winy nic się im nie stanie; jeśli się jedna ręka w obronie podniesie, głowy ich spadną!

Głuchym warczeniem całe podwórze się odezwało i ucichło nagle. Rzepiec i Wiechan dzikimi oczyma wodzili dokoła, gdy zbrojni, już ręce im w tył

powiązawszy, prowadzili do jamy. Tłum, pozbawiony starszyny, nie wiedząc, co począć, stał wryty.

— Do jamy! — powtórzył Belina i sam za prowadzącymi kroczyć zaczął z mieczem obnażonym.

Nie uszło to oczów rycerstwa, ziemian i załogi, w niektórych obudziło trwogę, dłonie szukać mieczów poczęły, jakby już przyjść miało do starcia.

Gromada, która z początku sunęła się za więźniami, cofnęła się i na podwórca legła, zawodząc żałośnie. Padały na ziemię kobiety, mężczyźni w kupę pozbierani szemrać i radzić poczęli po cichu. Setnicy szli, nakazując milczenie.

Noc już była, gdy za Wiechanem i Rzepcem drzwi więzienia zapadły.

Postawiono przy nich straż zbrojną. Na wałach podwojono czaty; rycerstwo z pomostów z wolna ku izbie wracać zaczęło, aby do jutrzejszej walki się sposobić.

Cisza panowała na grodzie, przerywana chodem straży i brzękiem mieczów, niekiedy płaczliwy głos dziecka doleciał z podwórca.

W izbie u ognia rozprawiać już o czym nie było, ni się czego domyślać; rzeczywistość groźna, straszna, stała naga przed oczyma.

Lasota, któremu ręce słabe nie służyły już do łuku i oręża po ostatniej walce, począł spokojnie ogień na kominie przykładać i poprawiać, drudzy krzątali się zawczasu około mieczów i zbroi. Wszyscy niemal, jakby się zmówili, sięgnęli po osetki do ostrzenia i rozpoczęli robotę; drudzy wzięli się

cięciw u łuków próbować i strzał ostrza na palcach. W izbie ruch i życie wielkie się wzięło, każdy usiadłszy, gdzie mógł toczył, czyścił, sposobił oręż, opatrywał pancerz i naprawiał.

Wśród tego milczenia nagle Wszebor się odezwał:

— Widzę, że stary chce na nas złożyć winę, żeśmy naszą wycieczką tłumy te ściągnęli. Wskazał mi to, nie mówiąc ałem zrozumiał. Jako żywo! Przecież, gdym był w Płocku u Masława, już się na Olszowe Horodyszczce zjawiano, a ja z tą wiadomością spieszyłem z powrotem.

— Prędzej, później byłoby do tego przyszło — dodał z kąta Toporczyk. Ja Panu Bogu dziękuję za to, iż mi dał czas trochę sił odzyskać, nie będę przynajmniej siedział w kącie z założonymi rękami.

To samo prawie powtarzał Kaniowa, który choć jeszcze guzy miał i sińce, już się ochoczo poruszał.

Do późna tak przy łuczywach trwały przygotowania, przerywane czasem kilką słowy rzuconymi za wiatrem; na całym grodzie oprócz niewiast nikt prawie nie zmrużył oka.

Belina nie przysiadł nawet. Lękając się, aby go na ławie sen nie zmorzył, gdy poczuł, że mu się powieki kleją, oparłszy ręce na mieczu skrzyżował, oczy trochę przymknął i tak zdrzemnął się tylko stojący.

Już trzecie kury piałły i brało się na dzień, gdy straszliwy wrzask jakiś przeraził

przebudzonych tylko co i śpiących jeszcze. Porwali się wszyscy, zląkwszy jakiego podejścia nieprzyjaciela; powybiegano z izb i szop dopytując się, co się stało. Nikt nie wiedział jeszcze; krzyk pochodził od drzwi więziennych, gdzie się gromadnie skupili zbrojni, a na ich głos ze wszech stron się zbiegano.

Wszebor, który z mieczem dobytym na hałas biegł pierwszy, znalazł tu już stojących Belinów obu, dworaków i wielu innych ludzi.

Widok, któremu zrazu oczy wierzyć nie chciały, przedstawił się u wrót jamy, do której Rzepca i Wiechana rzucono. Wpośród stojącej tu gromadki leżały dwa trupy, w miejscu gdzie stała straż nocna. Nie było na nich ani krwi, ani śladów walki; powrozy mieli pozarzucone na szyję, ściśnięte tak, że im oczy na wierzch powyskakiwały, języki z ust wyszły. Broń leżała przy nich na ziemi. Wrota do jamy stały wyłamane, nikt nocą najmniejszego nie słyszał hałasu, nie poruszyło się tu nic, z podwórca nie widziano nikogo przechodzącego, a Rzepca i Wiechana w jamie nie było. Brakło w niej i innych więźniów, którzy z nimi uszli wszyscy, jeden tylko stary dworak Belinów, za gwałt jakiś tam osadzony, żyw i cały pozostał. Ten nic powiedzieć nie umiał prócz, że gdy się ze snu przebudził, poczuł drzwiami otwartymi wchodzące świeże powietrze.

Rozbiegli się po całym grodzie ludzie szukać więźniów, którzy jak się zdawało, za ostrokoły ujść nie mogli, bo przy nich gęste czuwały straże. W całym grodzisku zamęt się stał i zamieszanie; wrzawa w pospólstwie, jęk i płacz kobiet słyszać było i krzyki tych, których zbrojni bić musieli, aby ich w porządku utrzymać, gdyż lud się rwał i burzył.

Zbudzone niewiasty wybiegły, pookrywawszy się czym mogły naprędce,

dowiadując się, co się stało. Niektórym zdało się, że już, korzystając z ciemności, oblegająca czern wtargnęła i bój się na samym Horodyszczu poczynał. Mężniejsze z nich chwyciły za topory i niemało bronić się było gotowych raczej, niż poddać sromotnie. Inne, łamiąc ręce, płakały.

Dzień nadchodzący zastał całą załogę w tym popłochu, a strażę obchodzącą wszystkie kąty, przetrząsającą komory, rozglądającą się na poddaszach, czy się gdzie zbiegowie nie skryli. Nie było śladu ich nigdzie.

Ta ucieczka zwiększyła jeszcze i tak już wielką trwogę, gdyż Rzepiec i Wiechan, długo na Horodyszczu przebywając, dobrze je znali, mogli więc dla czerni być najlepszymi przewodnikami, wskazując jej słabe strony.

Wschodzące słońce, nim się z gęstej mgły wybiło, nie dawało w dolinie nic rozpoznać oprócz ruchu, jaki wśród gromad coraz żywszy być poczynał. Sposobiono się już do napaści, kupy szykowały się i postępowiły ku wałom z okrzykami.

Moczary nie były jeszcze zamarzły, rzeczka jesiennym wód wezbraniem rozlała, z tej więc strony nie obawiano się napaści; lecz gdy rozedniało, ujrzano za błotami gromadę znaczną ludzi rzucających kłody i płoty w grzędawicę, hacie i mosty przysposabiających do przejścia. Musiano patrzeć na te przygotowania cierpliwie, nic począć nie mogąc, bo na taką odległość żaden pocisk nie sięgał.

Obrona wkrótce stać się mogła prawie niepodobną, gdyby tłuszcze ze wszech stron razem się rzuciły. Rąk było mało, ludzi skąpo, a lud w podwórku strzeżony być musiał i pod dozorem, ledwie na małe kupki go rozbijając, do noszenia ciężarów użyć było można.

Widok tych przygotowań nową obudził trwogę, spojrzano po sobie w milczeniu tylko.

Gdy na wałach żwawo się uwijali wszyscy, ojciec Gedeon o wschodzie słońca wedle zwyczaju wyszedł ze mszą świętą przed ołtarz na pomoście. Wytoczyły się niewiasty wszystkie, dzieci i starcy, klękając na modlitwę. Rycerstwo, ledwie się przeżegnawszy, musiało zbroje wdziać i stanąć przy ostrokołach.

Gdy mgły nieco opadły, u wrót zjawiała się gromadka jezdnych, wśród których Sobek poznał i pokazał Rzepca i Wiechana. Nie potrzeba ich już było szukać po Horodyszczu. Obiegając wskazywali rękami na kopiec, opowiadając dowódcom, kędy i jak trzeba było gródka dobywać.

Napastnicy jakoś się nie spieszyli z rozpoczęciem szturm, czy na kogo czekali, czy im pilno nie było, powoli rozbili przygotowania. Chcieli może ze wszech stron razem, gdy chać gotową będzie, uderzyć. Do południa strzały nie było puścić do kogo. Zdawało się niektórym, że na noc czekali i z pomocą zbiegów coś przedsiębrać chcieli, gdy ciemności zapadną.

Horodyszcze całe teraz wyglądało inaczej. Dopóki niebezpieczeństwo nie było tak bliskie, ludzie czas mieli spocząć i poswarzyć się, podrażnić z sobą, słowami się nieraz zetrzeć, a powaga Beliny

tylko powstrzymywała ich, że na siebie mieczów nie dobyli. Teraz wszystko się to zapomniało, wróciło braterstwo i zgoda, męstwo się obudziło w tych, co leżąc, byli zgnuśnieni. Czuli, że nadludzkich prawie sił było potrzeba, aby się temu rojowi napastników opierać, przeciągnąć walkę i może doczekać niepewnej odsieczy. Na niej była nadzieja jedyna. Gdyby się odsiecz spóźniła, zmorzeni głodem, wysileni czuwaniem, znekani walką, obrońcy Horodyszczu upaść by musieli. Ani ludzie, ni ostrokoły nie wytrzymałyby nacisku.

Dzień ten zszedł na czatach i drażnieniu się wzajemnym. Kupki to się przybliżały, to odchodziły, snuły i przeciągały, stawiały miotając odgróзки, wyśmiewając się, wyzywając. Za ledwie znużone rycerstwo padło na pomosty spocząć, gdy jedni odciągnęli, wnet następowała nowa gromada z krzykami i łajaniem. Jechali jezdni, wlekli się piesi podglądając, przypatrując się, podkradając.

Jezdni na strzał stawiali, tak aby głosy ich słychać było, i wywoływali po nazwiskach zamkniętych na Horodyszczu:

— Belina! Stary wilku, a wyłaż z jamy! Belina! Hej!

Drudzy bezcześcili Doliwów, Lasotę i ilu ich tam było. Wiechan i Rzepiec dobrze im rozpowiedzieli o wszystkich. Szczególniej na starego Belinę wykrzykiwano. Słyszał to, ale ścierpiął. Gdy się ciągle powtarzało łajanie, wyszedł w końcu na pomost naprzeciw, na mieczu się sparł, stanął oko w oko i dał się lżyć, nie mówiąc słowa.

Poznali go widać, jeden szydersko czapkę zdjął, pokłonił się, potem nacisnąwszy ją na głowę, pięść wyciągnął.

— Hej, stary zbój, co piłeś krew naszą, przyszła na ciebie pora! Słysz, nie wywiniesz się z pazurów chłopskich! Wiemy my, co się u was dzieje; breczką żyjecie, ludzi nie macie, niedługo was wykurzemy! Lepiej się zdajcie zawczasu! Tak czy owak wisieć będziecie, a choć męczyć nie damy, jak otworzycie wrota. Dzieciom żywot zachowamy! Wziąwszy gwałtem, żywej nie zostawim duszy.

Drugi ryknął ze śmiechem dzikim:

— Ano żywo, psy parszywe! Wrota otwierać!

Łajać poczęto z pogańska i wyklinać.

Belina stał, słuchał, nie drgnął, ni mu się usta otwarły; drudzy na ostrokołach, mniej cierpliwi, rzucali się wściekając, krzyczeli i łajaniem im odpowiadali. Jeden i drugi nie wytrzymał, i choć kupka stała daleko, a strzał daremnie wyrzucać było szkoda, poczęły i one świstać, a z proc ciskano kamienie. Kilku śmielszych ugodzono, ale w końcu cofnęli się z łajaniem i krzykiem.

Dnia tego więcej się na nic nie zebrali, czekali na coś. Wszebor myślał, że się Masława spodziewano.

Na błocie pomost wyciągał się, coraz ku okopom przybliżając. Rachowano patrząc, że ledwie trzeciego dnia chacie i mosty będą gotowe.

Noc zapadła wśród tej niepewności i oczekiwania stokroć gorszego od samego boju i niebezpieczeństwa, bo nic tak nie wycieńcza i nie nuży, jak groza wisząca nad karkiem, której, spadnięcia ciągle się spodziewać trzeba.

Nazajutrz zmieniła się pogoda, miasto mgły nadszedł deszcz chłodny, wiatr zadał silny, lasy szumiały od północy, jakby wtórowały wrzawie oblegających. Z

dale widać było gnące się drzew wierzchołki i obłamywane gałęzie; z ognisk dym rozbiegał się po dolinie z iskrami. Niektóre z nich wiatr i deszcz pogasiły. Gromady się nie ruszały jeszcze, a nad haciami pracowano.

W południe dopiero od lasów krzyki się rozległy głośnie, poszły echem po całym obozie. Ludzie wstawali co żywo, szykując się oddziałami. Z lasu pokazał się wysuwający orszak jezdnych, przed którym na żerdzi czerwona niesiono chorągiew.

Ubiorów ani twarzy rozeznac jeszcze nie było można; jechali szybko, przerznąli się przez obozowisko, zdążając wprost drogą ku wrotom zamkowym. Stojący na zaborolach Wszebor pierwszy zawołał:

— Masław!

Biegli wszyscy oglądać go, z rycerstwa bowiem mało kto za młodu nie znał

Masława na dworze Mieszka i Ryksy; każdy chciał zobaczyć, co się z pyszałka owego zrobiło.

On to był w istocie. Jechał na czarnym koniu z grzywą długą, we zbroi całej, w hełmie z kitą na głowie, w płaszczu jakby królewskim, czerwonym ze złotem, otoczony drużyną, w której znać było, że królewską naśladować chciała. Pacholek jeden tarczę za nim wiozł, drugi łuk i strzały, trzeci miecz wielki. Gromada strojna i zbrojna otaczała nowego knezia, który w bok się ujawszy, z podniesioną głową wprost jechał na wrota, pogardliwym okiem rzucając na Horodyszczce.

Już miał Mszczuj, zmierzwszy z łuku, puścić ku niemu strzałę,

obrachowawszy, że dosiąć może, gdy go powstrzymano.

Cała czereda pańska stanęła z obnażonymi głowami, otaczając go i słuchając wydawanych rozkazów. Z ruchów rąk wnosić było można, że i o haci, którą z drugiej strony kładziono, opowiadać musiano. Masław słuchał stojących przed sobą roztargniony, okazując im niemal pogardę. Zawrócił się potem i o kilkoro stajania wskazał naprzeciw wrót miejsce, gdzie chciał mieć obóz rozbity.

Nadciągały wozy pańskie i reszta dworu. Z Horodyszczca widać było, jak wbijano koły do rozwinięcia namiotu, doły kopano dla ognisk, wiązano konie i przysposabiano się do spoczynku. Wnet miejsce to pańskie ciekawa czerń rozmaicie pouzbrajana otaczać zaczęła, przychodziła starszyzna z pokłonami, zdejmowano z wozów beczki, pojono gości. Gwar wesoły dochodził do wałów, zwiększając się i rosnąc.

Na ten obraz zapadł mrok wieczora, ostatniego może, co miał śmiertelną walkę poprzedzać. Wkrótce

rozpocząć się ona musiała.

Belina spodziewał się nawet zamachu jakiegoś w nocy, ognie na wałach rozniecić kazał, ludzi tylko połowie dał spoczywać, resztę na czatach postawił.

Nie myślano już tej nocy o oszczędności; na Horodyszczu też odbito z piwem beczki, mięsa uwarzono podostatkiem Do izby na dole wniesiono kadzkę miodu, aby ludzi pokrzepić i odżywić.

A na wyżkach nikt nie prządl dnia tego, nikt nie śpiewał, Szeptaly dziewczęta, płakały starsze niewiasty, modliły się cicho niektóre. Jedna to druga wymykały się z izby, aby coś zobaczyć, coś usłyszeć i z tego zamieszania korzystając, słówko przemówić do kogo.

Nawet Kasia wysunęła się parę razy ze Zdana, popatrzały tuląc się do siebie, w dół spojrzaly ku okopom. Ani Tomka, ani Mszczuja widać nie było. Tęskno szeptały coś z sobą rączętami opasawszy się wzajem i główki schyliwszy ku sobie. Słuchały dalekiego szmeru, rozeznając w nim głosy.

— Słyszysz? To głos mego brata! A ja bym go wśród tysiąca poznała!

Kasia główką potakiwała, choć się jej wstyd przyznać było, że ona pierwsza przed siostrą nawet wołanie to poznała i powitała je twarzy rumieńcem.

— A to? Słuchaj no! — szepnęła cicho, odwzajemniając się. —

Przysięgłabym, że to głos Mszczuja Doliwy.

Zdana potrząsała głową niby niedowierzająco.

— Co mi tam Mszczuj! — rzekła roztargniona.

— O, nieprawda! Tyś pierwej głos jego niż Tomka posłyszala.

Zdana nie zawsze przyznawała się do tego, że się do niej Doliwa uśmiechał, ona jemu. Tego dnia jakoś mu nie wierzyła, trochę nań była gniewną. Mszczuj był na straży. Przez cały dzień nie szukał jej i nie spotkał, od wczora jakby jej znać nie chciał, ona też wiedzieć o nim niby nie chciała.

— E, Mszczuj! — odezwała się. — Czy to tam myśleć o tym. Miły Boże! Co to stanie się z nami! Ci chłopci, ta czerń straszna!

Kasia spojrzala na nią i w niebieskim jej oku błysnął ogień rycerskiego dziecięcia.

— Same sobie śmierć zadamy — zawołała — niżbyśmy się w ich ręce dostać miały! Nigdy! Nigdy! Ale ojciec Gedeon powiada, że Bóg uczyni cud i wyzwoli nas, a ojciec Gedeon świętym jest człowiekiem i Bóg mu nieraz prorokować dozwala.

Mówiła jeszcze Kasia, gdy Tomko się ukazał na dole. Wyrazy jej na ustach zamaryły, spuściła oczy, bo idąc tak spojrzal na nią strasznie jakoś przeszywająco, że spojrzenie to uczuła w sercu, oddechu jej nawet zabrakło.

Zdana łajała go, że je obie nagle tak wchodząc, nastraszył, a Kasia już mu się uśmiechała.

Wtem z izby na wyzkach ode drzwi głos Spytkowej dał się słyszeć:

— Kasia... ten wicher dziewczyna! Gdzie się znów ona podziała?

Dziewczę, z objęcia Zdany wrywając się nagle, spojrzęło raz jeszcze z uśmiechem ku Tomkowi i znikło.

Rozdział II.

Spały jeszcze niewiasty na górze, długim znużone czuwaniem, gdy straszna wrzawa dzikich głosów, zmieszanych ze stukiem i chrzęstem, od których domostwo drżało, zbudziła je przerażone. Pierwszy głos, co ucho ich uderzył, był wojennym, bojowym hasłem. Łoskot podnoszonych do góry i spadających kłód i kamieni mieszał się z głosy wściekłymi wśród których to jęk rannego, to łajanie rycerzy słyszać było. Na dachy z dranic padały kamienie z proc, przez oblegających rzucane, ściany się trzęsły, bieganiem po pomostach do koła tętniało na Horodyszczu całym.

Jak burzę słyszać było przenoszące się gromady ludzi około ostrokołów, zbiegających tam, gdzie niebezpieczeństwo groziło. Czasem górą grzmiał głos dowodzącego, to gdzieś tonął, zagłuszony wrzaskami. Słyszać było jakby trzask i łamanie ostrokołów, i huk toczących się głazów, i jęki tych których one przygniatały.

Z płaczem pozrywały się z posłania niewiasty, chwytając przyodziewki, żegnając się krzyżem świętym, biegając, wołając, potracając się i tracąc przytomność. Żadna nic znaleźć nie mogła i włożyć nie umiała.

Jedna Hanna Belinowa stała w pośrodku izby blada, ale spokojna, odziana już, z twarzą posępną, poglądając miłosiernie na to rozbite i spłoszone stadko swoje.

— Dobijają się już do wrót! — zawodząc okrutnie, wołała z komory

Spytkowa. — Boże miłosierny! Co czynić? Co poczynać? Ratuj, kto żyw!

Co chwila wpadały dziewczki służebne.

— Już się cisną od Olszanki! — wołała jedna. Przeszli błoto...

— Do wrót idą siłą! — mówiła druga.

— Kamienie lecą jak grad, za strzałami dnia nie widać! — krzyczała trzecia.

— Hele postrzelono gdy wodę niosła — mówiła zdyszana wpadając inna, —

Rzuciła dzban ze strachu i stłukła.

— Dzban mój — przerwała ręce łamiąc Hanna Belinowa — polewany mój dzban!

Nie tyle jej postrzelnej dziewczki, co dzbana żal było.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy niemłoda kobieta wpadła splakana z ręką skrwawioną. Strzały już w ranie nie było, ale z rany sączyła się krew, a z oczów płynęły łzy i mówić nie mogła ze strachu. Zdana wnet przybiegła obwiązać ranę, Kasia zobaczyć ją i pomagać. Pozałamywały ręce.

Nie przeszła jeszcze ta pierwsza trwoga, gdy do drzwi zastukano. Wszystkie pierzchnęły od nich ze strachu.

— Ojciec Gedeon ze mszą wychodzi! —zawołał głos za drzwiami.

Niewiasty o mszy były zapomniały, a modlitwa teraz tak była duszy

potrzebna! Żwawo poczęły się przyodziewać, aby przed ołtarz pospieszyć. Nawet trochę do wstawania leniwa Spytkowa coś na siebie schwyciła, aby mszy świętej nie opuścić.

Wśród ścian od walki drżących ojciec Gedeon na zwykłym swym miejscu, pod daszkiem, na który się sypał grad kamieni, odprawiał już niekrwawą ofiarę, tak spokojny i bezpieczny, jakby był jeszcze w swoim cichym klasztorze za dawnych, szczęśliwych czasów.

Na pomoście odkrytym, w podwórku, walkę na okopach daleko wyraźniej, głośniej i straszniej słyhać było niż w izbie. Niewiasty, zaledwie wyszedłszy, struchlałe popadały na kolana, modlić się nie mogąc, oczy zapłakane zwracając na kapłana, którego ani ten szum, ni łoskot kamieni toczących się Po dranicach, ni ranionych jęki nie zdawały się poruszać. Starzec był cały w modlitwie i w Bogu, duszą na innym świecie.

Same niewiasty dziś i dzieci małe go otaczały. Starsze chłopaki, choć ich odpędzano, nie wytrzymały, dziecinnych swych proc i małych łuczków poszły próbować na okopach. Walczący pozbyć się ich nie mogli.

Wśród niewiast rozplakanych jedna twarz Belinowej spokojną była, jednej Kasi oczy otwarte szeroko, usta w pół odemknięte, całe lice dziecięce jeszcze prawie męskim tchnęło duchem. Zdało się, jakby co chwila zerwać się chciała i biec a walczyć. Najmniejszej już obawy nie zdradzała zmarszczona twarzyczka, pałająca gniewem, niepohamowanym pragnieniem skoczenia tam, gdzie wrzał bój. Kilka razy zdumiona spojrzała na nią Zdana.

— Co tobie?

— Mnie? Poszłabym się bić! — odpowiedziała, oddychając ciężko, Kasia.

— A, poszłabym się bić!

Belinowa usta jej dłonią zamknęła.

Walka, której od ołtarza widać nie było, tym sroższą się przez to zdawała, że głosy jej tylko tu dolatywały. Uszy modlących się niewiast, dziewcząt, dzieci przy każdym głośniejszym okrzyku boleści lub gniewu starały się pochwycić wyraz jego, odgadnąć pierś, z której wychodził. Głowy

wszystkie zwracały się ku wrotom, przez które buchała ta wrzawa bojowa.

Gdy na koniec ojciec Gedeon odwrócił się i zakreślił wielki krzyż w powietrzu, zegnając nim razem żony, dzieci i tych co niewidzialni za nie walczyli, niewiasty padły na twarz płacząc. Kapłan już znikł, a one jeszcze powstać nie śmiały.

Kasia tylko zerwała się jedna i z oczyma obróconymi ku wałom drżała, że nie mogła biec ku nim.

Zdana ją pochwyciła za rękę i gwałtem niemal do izby nazad zawiodła. Jakże zazdrościła Kasia starej Hannie Belinowej, która nie wytrzymałszy, choć strzały dolatywały, choć kamienie padały wśród podwórza, wyszła własnymi oczyma spojrzeć na to, co się tam działo i czuwać nad panem a mężem swoim. Serce miała hartowne a męskie, przetrwało ono już stratę dwóch córek, skon jednego syna. Z

pięcioro dwoje jej tylko zostało. Z tych dwojga jeden był tam, na wałach, pewnie gdzie najgorętsza wrzała walka, gdzie największe było niebezpieczeństwo.

W izbie na dole pusto było, starzy, ranni, osłabli, wszyscy, z czym kto mógł, powlekli się na wały. Nie mogło ich tam być nadto dnia tego, gdy każda i najśłabsza nawet ręka na coś się przydać mogła. Świeżo pokaleczeni zbiegali tu na chwilę, aby obwiązać ranę, zatamować krew i wracać na wały. Toporczyk, postrzelony, zębami sobie zawiązywał rękę, z której się krew toczyła obficie, aby biec do swoich.

Horodyszczce zewsząd było jak mrowiem opasane tysiącami ludu cisnącego się nań przebojem. Ci, co szli na ostatku i pozostali jeszcze w dolinie, pchali i naciskali tych, co się w pierwsze dostali szeregi. Czerń się cofnąć nie mogła, choć by chciała, choć na jej głowy i karki spadały kłody ogromne, a kamienie, tocząc się, gruchotały ręce i nogi. Naciskano i parta z tyłu. Po upadłych i zgniecionych wdrapywali się żywi i z trupów wał leżał u ostrokołów.

Masław stał na uboczu, w rogi tylko każąc trąbić, aby zagrzewać do boju.

Tłumy tak szczelnie opasywały grodek, że nie było miejsca na wałach, gdzie by się im obraniać i opędzać nie było potrzeba. Od rzeczki nawet, przez hacie i mosty naprędce poklecone, dostała się przede dniem gromada, z tej strony naciskając i dobijając się wścieklej, bo rachowała, że tu obrona będzie najśłabszą.

Ludu z pierwszego podwórza, któremu zawierzyć nie było można, choć ręce jego bardzo by się były przydały, użyć nie mógł Belina inaczej, jak kupkami rozdzielając go między rycerstwo, a pilne nań mając oko. U wrót nie postawiono z nich nikogo. Szli chłopci pod grozą, niechętni, chmurni, leniwie, ledwie spełniając dawane im rozkazy. Na twarzach ich malował się gniew tłumiony, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Dźwigali oni kłody, toczyli kamienie, nosili wrzątek, dozorowani jak niewolnicy.

Rzepiec i Wiechan, uwijający się wśród gromad, coraz ku swoim

nawoływali, dawali znaki, aby się zwrócili na obleżonych. Po bladych twarzach przelatywały błyski,

lecz ręce się porwać nie śmiały. Belina z mieczem swym nieustannie miał ich na oku. Najmniejszy opór karany był śmiercią.

Pozostałe niewiasty z niemowlętami i dziećmi wybiegały zagrzane wrzawą, z rozpuszczonymi włosami ku mężom i braciom, aby ich do buntu nawołać, lecz spychano je jak trzodę do szop, z których tylko jęk i krzyki dochodziły.

Położenie było rozpaczliwe, straszniejsze się stawało z każdą godziną. Od strony rzeczulki, gdy na świeżo podsypany wał i ostrokoły nowe napadła gromada wielka, w pierwszym nacisku obwaliła się znaczna część ogrodzenia. Wyłom już był

zrobiony. Rzucili się, kto żyw, ku niemu, zawalając wszystkim, co się pod ręką znalazło. Szczęściem, płoty i koły od szop, które rozerwano, dopomogły do obrony.

Dwaj Doliwowie, stojący tu, cudów dokazywali, we dwu starczali za dziesiątek. Oba czasu pokoju, w beczynnym życiu swarliwi i niespokojni, duchy gorące, skore do kłótni i zwady, tu byli w miejscu czynni, niezmordowani, a choć już z nich krew ciekła obficie, choć strzały w nich tkwiły jak kolce na jeżach, kamienie natłukły sińców i guzów, żaden z nich nie jęknął i obwijać się nie poszedł. Każdy pocisk jeszcze ich czynił zapalczywymi. Siła się w nich dwoiła, dźwigali ciężary jakich by pospolitego czasu żaden z nich nie poruszył, nie czuli znużenia, śmieli się, uradowani niemal.

Belina, patrząc na nich, drżał szczęśliwy, a Mszczuja wśród boju wpół

chwyciwszy, w głowę go pocałował. Kupa ludzi która z tej strony się dobywała, w dość niebezpiecznym była położeniu. Choć liczna i ciągłym zwiększającą się napływen, szła ona przez jedne hać wąską, od reszty gromad odcięta będąc z obu stron płynącą rzeczka. Wszebor, rozpatrzywszy się tu, zbiegł z wałów do Beliny.

— Ojczy! — zawołał. — Ulituj się, daj mi ludzi garsteczkę! Dużo nie trzeba!

Ale daj! Puśćcie mnie jaką dziurą na ten motłoch, ja go w błocie wytopię!

— Gdzie? Co? — odezwał się Belina.

— Spójrzycież, hać wąska. Oni się nie spodziewają, by ich kto zaskoczył.

Wpadniemy na nich, ujdą. Niezbrojne to i nie rycerskie, od cepa i brony. Hukniem, to się rozproszy!

Belina bronił się, ręce podnosząc.

— Poszlibyście na zgubę! Was szkoda!

— Wrócimy cało, mój ojczy, puść, bo nie wytrzymam, sam się rzucę na gromadę! — wołał Wszebor.

Szalone to było przedsięwzięcie. W kilkunastu, bo więcej oddzielić nie było można, napaść na kilkuset zdawało się nie podobieństwem. Lecz tłum ten, spędzony pod Horodyszcze, prawie bezbronny, w koszulach i siermięgach, z pałkami i kijami, bo połowa toporów nawet nie miała, nie

mógł się mierzyć ze zbrojnymi. Wszebor ręczył, klął się, przysięgał, że tę czerń przegoni, byle mu kilkunastu zbrojnych dano.

Spędzić stąd oblegających było wielkiej wagi, gdyż jedną stronę mając wolną, z innych się silniej było można opierać.

Belina lękał się, wahał, zezwolić nie chciał długo. Samo wypuszczenie nie było łatwym. Wniście główne na Horodyszczu znajdowało się z przeciwnej strony, od rzeczki była tylko furta mała, zabita i zasypana dawno, tak że ją wśród ostrokołów rozpoznać było trudno. Tę trzeba było otworzyć, narażając się na to, że w razie niepowodzenia zgraja się przez nią na Horodyszczu najłatwiej mogła dostać. Stary bronił się, nie pozwalał, na Horodyszczu gotów był walczyć do upadłego, na niebezpieczne próby nie chciał się puszcząć, ni siebie ważyć, ni drugich. Lecz z Wszeborem trudno było, gdy się zapalił, zmógł starca nadzwyczajną gwałtownością, napaścią, naleganiem, przymusem niemal do zezwolenia.

Gdy Belina głową dał znak zgody, Wszebor poleciał jak szalony; na wołanie jego, co było gorętszego, zbiegło się natychmiast.

— Pójdziemy szczęścia próbować.

W tej ciasnocie bić się, stojąc, nikomu nie smakowało. Wszeborowa myśl wycieczki pozawracała głowy. Napastnicy wcale się stąd nie mogli spodziewać napaści.

Zaczęto furtę odwalać, ziemię odkopywać, a nim się to stało, gromadka Wszeborowych już do wyskoczenia była gotową.

— Mieczów tu nie trzeba, toporów i oszczepów jak na dzika! — wołał dowódca.

Chwyciwszy więc topory i oszczepy, cali pookrywani pancerzami, kilku z tarczami, czekali tylko, by się na wrzeczadkach wrota podniosły.

Cizba, co się na wał cisnęła, nie spodziewała się wycieczki, gdy furta się rozwarła, myśleli, że zdradą ją otwarto, i tłum chciał się łączyć z nimi. Cofnęli się niepewni. W tej chwili Wszebor z towarzyszami na wahających się padł, prac ich i rąbiąc.

Z ostrokołów dopomagano. Na dany znak puszczono kłody ogromne, na

bliższych poczęto łać wrzątek, cofnęli się. Wszebor już nacierał z wrzaskiem, z krzykiem, bo w ówczesnej walce głosy też i piersi niemało miały do czynienia.

Napastnicy zaskoczeni nagle, spłoszeni, rzucili się tłumnie ku haciom i mostom.. Tu ciasno było, uchodzący sparli się z nadchodzącymi; znaczna część, przed toporami i oszczepami uciekając, w wodę i grzędawicę wskoczyć musiała. Z tej pierwszej chwili popłochu umiał Wszebor i jego towarzysze korzystać. Parli tym silniej i nacierali. W dzikim tłumie dość zawsze, by jeden tył podał, za nim biegną wszyscy.

Ruszyło się to mrowie do ucieczki... Ci, co szli dalej na haci, zawróciwszy się z wrzaskiem uciekali nazad, staczali się w moczary, padali w rzekę, Wszebor bił, mordował i pędził pomostem dalej. Co zostało odcięte pod Horodyszczem, padło pod toporami; oblegający z drugiej strony, oddzieleni wodą, zasłonięty mając widok Horodyszczem, nie domyślali się nawet, co tam się działo, i w pomoc rychło przyjść nie mogli.

Na podziw więc szczęśliwie powiodło się śmiałym Doliwom w pierwszym starciu, a co dziwniej nie zapędzili się zbyt. Do pół pomostu doszedłszy, wnet go rozrywać zaczęli, kłody ściągać, burzyć i na zamek cofać się znowu.

Odparty tłum nie śmiał już i nie mógł powracać, oparł się aż na brzegu przeciwnym.

Zuchwałej, szalonej wycieczce Wszebora winno było Horodyszcz, że się dzielniej z innych stron bronić mogło. Belina, widząc, że przynajmniej do jutra jeden bok mieć będzie wolny, mało co ludzi tu zostawiwszy, resztę pchnął tam, gdzie główne siły Masława zgromadzone były.

Lik ich ogromny wrzawę przerażającą powiększał, ale w rzeczy nie pomagał

wiele. Znaczniejsza część, przystępu nie mając, stała wrzeszcząc w dolinie, cisnęła swoich, rzucała z proc kamieniami, które często własnym towarzyszom na głowy spadały, a przybliżyć się nie mogła. Okopy całe już były niemal trupami i rannymi zavalone. Kłody niektóre, na wpół ludzi przygniótłszy, trzymały ich do ziemi przybitych, nie mogących się ani wyrwać, ni skonać. Po ich ciałach, po trupach drapali się drudzy nie tak natarczywie i śmiało, bo z ostrokołów grad się sypał na głowy, strumienie wrzątku oblewały, smołą zażegnietą w garnkach ciskano na tych, co się bliżej dobili.

W tej walce zajadłej przeszło południe. Masław, który spodziewał się wszystko w parę godzin dokończyć, wściekał się, widząc zajadłą obronę, która tyle ludzi kosztowała, a pozostałym odebrała odwagę. Coraz się sam ze swoimi przybliżał, podjeżdżał, wybrał wreszcie najsprawniejszych, aby pod główne wrota podpadłszy, podpalili je i rąbali.

Nad wrotami tymi od dawna się gotowano do obrony najdzielniejszej. Samo ich położenie ułatwiało tu opór. Znajdowało się bowiem wniście główne w rodzaju wąwozu, w którym ledwo kilku ludzi w poręcz stanąć mogło.

Belina od rana deski kazał wodą oblewać, aby namokłe nie łatwo się zażec dawały. Na górnym pomoście, nad bramą daszkiem osłoniętą, stali najmężniejsi ludzie, najśmielsza młodzież. Od łuków i kamieni kawał rzadkiego ostrokołu ich okrywał, mogli więc bronić się stąd, nie bardzo będąc wystawieni na pociski.

Kamieni pod ręką mieli stosy, belek kilka grubych do ciśnięcia, a rąk nie brakło.

Masław, sam podbiegłszy pędził swoich, na wrota ukazując; podbiegło kilkadziesiąt z tarczami lipowymi, skórą poobijanymi, które w polu były dobre przeciw mieczom, a od kamieni i belek obronić nie mogły.

Dano im się podsunąć do wąwozu w wałach, z zapalonymi żagwiami przybiec aż pod wrota niemal,

dopiero runęła na nich kłoda przysposobiona, od której uciekać chcieli, za późno. Zabiła ona kilku na miejscu, reszta, cofnąwszy się stała z dala.

Widząc, że się tu podkraść trudno będzie, suchy chrust poczęli gromadzić wiązkami, opodal nieco, chcąc potem podpalony podtoczyć.

Nim się na to zebrali, zmierzchać zaczęło. Najkrótsze dni późnej jesieni chmurne tego czasu niebo skracało jeszcze; ludzie byli straszliwie znużeni, tak że ze dniem i szturm znacznie wolnieć zaczął. Pozostawały tylko zapalczywsze gromadki ochotników, ale i te się już przerzedzały.

Oblężeni wyglądali nocy jak wybawienia, choć wiedzieli, że całkiem

ubezpieczeni spoczywać nie będą mogli, częścią jednak mieniając się, odetchnąć się spodziewali. Pierwszy dzień niezmiernego wysiłku znużył rycerstwo; wielu z nich do ustąpienia dla ran i zmęczenia zmuszeni byli. Dzień był wprawdzie szczęśliwym, lecz gromadom nie zadał klęski wielkiej, pobudził tylko do wściekłości. Strata kilkudziesięciu, choćby kilkuset ludzi nic w tych tłumach nie znaczyła. Spędzeni od strony rzeczki, pierzchnąwszy ze sromem, wściekali się, odgrzali i tym zajadlej sposobili tąż samą powrócić drogą.

Widok licznych trupów, które na wałach i pod wałami leżały dokoła,

rozbudzał chęć zemsty w tłumach, które, ściągając je, miały obelgi i łajania.

Gotowano się obyczajem pogańskim sprawić im pogrzeb, paląc je na stosach.

Noc nadchodząca, choć nie rozproszyła całkowicie zgrai kręcącej się ciągle dokoła, zmusiła jednak do niejakiego spoczynku. Na strzał z łuku od wałów pozapalano ognie i rozkładano się tak blisko, że gwar, śpiewy i plugawe przekleństwa ciżby do Horodyszczu dolatywały.

Tu nie próżnowano też. Kilkanaście godzin walki znacznie wyczerpało to, co do niej było przygotowanym; kłody, mienie, pociski, które na daleko dłuższy opór zdawały starczyć, w ciągu tego jednego straszego dnia wyszafowano niemal wszystkie. Ludzie walką zagrzeni nie zawsze oszczędzać chcieli; padało wiele daremnie i staczało się z okopów, nie raziwszy nikogo.

Na Horodyszczu belek, drzewa, głązów niewiele już było, zostało to, co na budowach sterczało i w ziemi pod nimi. Stary Belina wieczorem kazał stajnie i szopy rozrzucić. Spędzono lud do roboty przy łuczywach, postawiwszy dozorców. Słupy, belki, krokwie nawet, kamień z fundamentów musiały się nocą na jutro gotować.

Gdyby obrona przeciągnąć się miała, za szopą jedną musiały pójść drugie, choćby sam dworzec walić przyszło i pod gołym niebem koczować.

Noc to była bez snu i spoczynku; na nieprzyjaciela w domu trzeba było zważać pilno, by mu się nie dać naradzać i skupiać, strzec na wałach i u wrót, aby z zewnątrz się nie podkradli Masława ludzie. W izbie na dole po kilku tylko i na krótko odpocząć mogło. Tu opatrywano rany, dawano jedzenie, starsi przychodzili wyciągnąć się na podłodze, by im ręce i nogi po tej młóćbie nieustannej odeszły.

W kilku miejscach, gdzie napaść była żwawsza, nie tylko strzałami i kamieniami, ale oszczepy i toporami obraniać się musiano. Nim kłodę dźwignięto, gdy czerń po trupach już na ostrokoły się parła, twarz w twarz, piersi z piersią spotykać się przychodziło. Chwymano się za włosy i rąbano toporami. Stary Lasota, który miał tylko posługiwać, choć słaby, rzucił się w gąszcz, nie strzymał, krwią był

zbryzgany i ranny. Mało też kto dnia tego został całym, choć rany straszne nie były; najwięcej guzów i sińców nabiły kamienie, ran drobnych a bolesnych narobiły strzały kamienne. Oblegający więcej mieli i straszniej pokaleczonych.

Przez całą noc w obozie szeroko rozłożonym, sięgającym aż do zamczyska, ruch był i jakieś przygotowania. Świeciło w namiocie Masława, ludzie zeń wychodzili i przybiegali doń ciągle. W mroku kilka razy oblegający podkraść się usiłowali, lecz znaleźli przygotowanych i strzałami gęstymi wystraszeni pierchnęli.

Straże chodziły wszędzie.

Krótszym się pewnie dzień ten pamiętny wydał tym, co w bojowym spędzili wrzątku, niż biednym niewiastom, skazanym na przysłuchiwanie się beczynne, ciąglą trwogę, którą każdy większy łoskot obudzał. Słyszac krzyki gwałtownie wybuchające, wybiegały wszystkie patrząc, azali się już wdarła czerń przez wrota lub nie wywaliła gdzie ostrokołów. Dziewki służebne, które mimo boju dla wszystkich przecie strawę i napój przygotowywać i roznosić musiały, wracając przez cały dzień, przynosząc nedorzeczne trwogi, zwiastując niemal ostatnią klęskę, tak że Zdana odważniejsza z Kasią wybiegać musiały, aby się o prawdzie przekonać. Spokój dziewczyny w chwili niebezpieczniejszej zmieniał się w rozterkę, tak że Spytkowa oczom swym, patrząc na nią, wierzyć nie chciała. Dwa czy trzy razy musiała jej nakazać rzucić siekiere, za którą porwała.

Co się działo ze starym Beliną, ten by mógł powiedzieć sługa, co za nim krok w krok chodził. Widziano go wszędy gdzie najgoręcej było. Milczący stawał na pomostach i ogromnym swym mieczem, do którego obu rąk potrzebował, wywijał i rąbał potężnie. Nigdzie miejsca nie zagrzewając, przenosił się ciągle, gdzie była potrzeba, i niekiedy tylko dobywał ogromnego głosu, pędząc ludzi. Wieczorem on i znaczniejsza część wojowników ledwie się na nogach utrzymać mogła, padali jak podcięci, dysząc długo, nim cokolwiek sił wróciło. Jadła i napoju nie brakło teraz; dla kogóż oszczędzać je mieli. Godziny były policzone.

Na jedne tylko Opatrzność chyba, jak mówił ojciec Gedeon, rachować było można, ona jedna pozostała. Dzień, dwa, takiej napaści gromadnej odcinać by się zdołali obleżeni; a nic ich nie mogło ocalić, jeżeliby osada dłużej trwała. Widzieli to wszyscy, choć nikt o tym mówić głośno nie śmiał, by drugim nie psuć serca i nie zwiększać trwogi. Ukradkiem wstawali, szli pod ołtarz do spowiedzi i gotowali się na śmierć.

Przecucie końca a postanowienie bronięcia się do ostatka uroczystą powagą oblekało tę garstkę ludzi, co się do skonu gotując, uśmiechali, nie okazując trwogi po sobie. Gwarzono o rzeczach obojętnych, aby o tym, co w myśli było nie napomnieć.

Rodzina, żony, dzieci, ojcowizny spustoszone, wszystko, co rzucić mieli na wieki, stawało w oczach

tej godziny ostatniej, a oczom męskim łzy uronić nie było wolno.

Łagodnie podzartowywali z siebie, pokazując sobie wzajem rany i

opowiadając dnia tego dzieje. Oczyma tylko potajemnie mówili sobie jak rzymscy gladiatorowie;

— Na śmierć przeznaczeni jesteśmy!

Przez całą noc izba się nie zamykała; wchodzili jedni, wysuwali się drudzy nasłuchując, ledwie przysiadł lub przyległ który. Większa część przychodziła milcząca posepnie, poobwiązywana, krwawa; jeden przy drugim szukał miejsca na słomie, by rozprostować skurczone członki.

— Ot, tak — odezwał się stary Lasota, śmiejąc się do blizn swoich — komu co przeznaczone, nie ujdzie losu. Za trupa już rzucony leżałem na pobojuwisku, skołałem prawie, odżyć mi trzeba było i przywlec się aż tu, aby drugi raz umierać!

Wyciągnęli mnie z Gdecza, gdzie pod ścianą byłbym spokojnie oczy zamknął, nie cierpiąc więcej, a tu tylko Belinę objadł i ginać muszę!

Belina stęknął.

— Co tam ginać! Ginać to ginać! Nam starym to przystało. Młodych szkoda, dzieci naszych, dziewczek, synów.

— Na to, co się dziś dzieje, niech lepiej i oni nie patrzą! — krzyknął ktoś z barłogu.

Tuż przy ogniu siedział ziemianin od Poznania, a zwał się Poturga. Najmniej pono wojował, choć się dużo kręcił, głośno nękał i wyrzekał, a wszystko mu złe było. Ten, podniósłszy głowę, zawołał ku Belinie:

— Po co się już tu i bronić! Sprawa przegrana i koniec!

Belina obrócił się nadąsany.

— A cóż, lepiej od stryczka ginać czy od topora? Zdać się na wolę? He?!

— Cóż pomoże bić się, kiedy się nie wybijemy!

— To poginiemy w boju! — krzyknął Belina drżący z gniewu. — Poginiemy, bośmy powinni! Motłoch tylko pada twarzą o ziemię, aby sobie życie wyprosił.

Poturga kiwał głową milczący.

— Chce się wam do Masława iść — dodał Belina — ja wam wrota otworzyć każę lub spuścić na postronkach.

Wtem z drugiego kąta ciemnego, w którym nic dojrzeć nie było można, chrapliwy głos z podłogi

ozwał się, przerwaną ciągnąc rozmowę:

— Co prawda, to prawda! Tak było uczynić, jak zawsze radził Doliwa, bo on rozum miał. Przebojem było iść i w lasach się schronić.

— A potem? — spytał smutnie Lasota.

Na to nie było odpowiedzi, tylko poza nimi szmer się słyszeć dało, jakby kto wchodził po cichu. Od ogniska przygasającego mało blasku na ciemną izbę padało.

Obejrzeni się. Przed nimi stał z rękami założonymi na piersiach, w czarnej swej sukni, w kapturku na głowie, ojciec Gedeon. Błada twarz jego była dziwnie smutno uśmiechnięta, jakby z politowaniem Patrzył na płonący ogień, choć gdzie indziej był

myślami.

Gdy wszyscy milczeli, mnich powiódł oczyma dokoła.

— Bracia mili — rzekł głosem słodkim, w którym przebrzmiewało

niezrozumiałe dla słuchaczy wewnętrzne wesele. — Bracia mili! Ani na przeszłość narzekać, bo ta się nie zmieni, ani przyszłość zgadywać i trapić się nią zawczasu nie godzi! Najlepiej człowiek ten czyni, co spełnia dziś to co na dobie, a jutro zdaje na ręce boże. Takeście uczynili dziś właśnie, a zaprawdę dzień to był rycerski, wielki, piękny! Bóg, co patrzy na nas z góry, nie miałżeby tej walki za żony i dzieci, tak świętej i poczciwej, ukoronować zwycięstwem?

— Eh, eh, ojczaszku! — śmiejąc się szydersko, zawołał z kąta Poturga. — Eh, eh, co bo z nas sobie żarty stroicie. Gdyby i sam Pan Bóg nawet się w to wdał, to nas nie ocali. Wpadliśmy w matnię i po wszystkich

Ojcu Gedeonowi, słuchając tej mowy bezbożnej, twarz zapłonęła; podniósł

ręce do góry.

— Człecze bezbożny! — zawołał oburzony. — Milcz, abyś gniewu bożego na dom ten nie ściągnął! Cóż dla Boga nie podobnym? Co dlań niemożliwym?

Poturga, ręką kiwając, śmiał się. Kapłan z prostodusznego i pokornego przed chwilą, poważnym stał się i groźnym, rósł w oczach, ogień przebiegł mu po licu bladym, zmienił się, przybrał postać nakazującą, proroczą. Nie władał sobą.

— A ja ci mówię, nieszczęśliwy człowiecze, iż oczy twoje ocalenie widzieć będą, a ty, coś w nie uwierzyć nie chciał, nie ufając boskiej potędze, ty jeden ocalonym nie będziesz!

Wskazał nań palcem i umilkł. Przerażeni tym wszyscy spoglądali nań. Ojciec Gedeon stał, z wolna powracając do zwykłego twarzy wyrazu. Poprawił kapturek, który mu się był zsunął z głowy, spuścił oczy i jakby zawstydzony tym, że się uniósł

zbytńio, powolnym krokiem wyszedł z izby. Poturga siedział blady, lecz śmiech zszedł mu z twarzy; drżał cały.

Belina powstał wprędce i popatrzawszy nań, wysunął się także. Na wałach paliły się ognie wszędzie, chodziły straże, od doliny dolatywały gwary; niekiedy głośniejszym łajaniem odpowiadały czaty na zaczepki podchodzących. Stary gospodarz wdrapał się nad wrota, aby popatrzeć w dolinę.

Noc była ciemna, wśród dymów gdzieniegdzie czerwieniały gasnące, żółtymi płomieniami paliły się świeżo nałożone ogniska. Mało kto zasypiał. Czarne cienie snuły się pojedynczo i kupkami, szczególnie około namiotu Masława; głuchy gwar mieszał się z poważnym lasów szumem. Na dole widać jeszcze było nie pościągane trupy, leżące wśród belek i kamieni. Skradających się ku nim straże raziły strzałami.

Psy, wyjąc, włóczyły się po poboju, w dali rżały konie i prychały. Jak zajrzeć, rząd ogni wyciągał się daleko aż na brzeg lasów, w których stare, smolne sosny podpalone z dołu płonęły jak świece olbrzymie. Niebo było czarne, obłoków nawet na nim dojrzeć nie było można, tylko w dali luną odbijały się na nich czerwone dymy, to rozżarzając się, to gasnąc.

Belina stał na grodzisku swych ojców i myślał: "Jutro dzień stosem popiołów, a my legniemy może jak te trupy".

Na wyżkach z niewiast żadna kłaść się do snu nie chciała, lękały się nocnego napadu. Palił się ogień ciągle żywiony, siedziały wszystkie dokoła po ławach, na ziemi, żadna nawet do ręki nie wzięła kądzieli. Nie chodziły palce, drżały dłonie, stały tęskne kądziółki pospierane po kątach; dziewczęta z pozakładanymi rękami dumały. Śpiew na usta nie przychodził. Rzadko która szeptem się do drugiej odezwała cichym.

Stara Spytkowa, której usta mało odpoczywały, narzekaniami ciągłymi trapiła swe towarzyszki.

— O, żebym ja to była przeczuwała! — stękała biedna. — Żebym ja była wiedziała, co mnie czeka w tym waszym szczęśliwym kraju, nigdy bym z Rusi uprowadzić się nie dała! Miałam kniaziowskie, bojarów, starostów swaty, w murowanym grodzie bezpieczna, wieku bym dożyła, czy w Kijowie złotym, czy w Połocku, czy w Nowogrodzie, choć tu Nowogrodzian cieślami wszystkich przezywają! A tu, tu! — ruszyła ramionami. — Za grzechy mi tu żyć przyszło!

— Albo to na Rusi wojen nie ma? — spytała Zdana nieśmiało.

— Ale nie takie jak wasze — odparła Spytkowa. — Potłuką się czasem Waragi z naszymi, porzną w polu, a nam niewiastom co do tego! Wyjdą za gród, wyciągną na dolinę, w zamkach spokojnie!

Nikt nie przerywał Spytkowej, gdy Zdana, która się była wychyliła do ciemnej komory, nagle krzyknęła wielkim głosem.

Zerwały się wszystkie wtórując.

Na grodku gwar się jakiś wszczynął. Przez szczeliny ścian komory przeglądało światło wielkie, bliskie, czerwone, widać było jakby iskry przelatujące.

— Gore! Gore! — wołała Zdana.

Wszystkie się ku drzwiom cisnąć zaczęły z krzykiem:

— Ogień! Gore!

Coraz rosąca wzmagała się wrzawa.

Gorzało w istocie na Horodyszczu, podpalone ręką złych ludzi płonęły szopy, a że wszystkie budowle dachami się łączyły z sobą, wnet płomień niósł na dworce, pożar groził grodzisku, pomostom i ostrokołom, które całą stanowiły obronę.

Czerń, która pod wałami zaczajona leżała, rachowała na tą chwilę popłochu i z okrzykiem rzuciła się ku okopom. Suche, chruściane szopy ściany, słoma i siano pod nimi gorzały jak jeden stos płomieniem ogromnym. Połowa rąk rzuciła się gasić ogień, druga musiała bronić ostrokołów, ku którym cisnęli się napastnicy.

Zdało się, że nadeszła chwila ostatnia, zostało do wyboru albo ginąć w płomieniach, lub z rąk dziczy. Sam Belina z garścią swoich pobiegł w ogień, nie straciwszy męstwa; Tomko z Doliwami na wały. Zawrzało znowu istnym piekłem.

Trzask padających budowli wtórował okrzykom dzikim.

Lecz jak gdyby Bóg litościwy w pomoc chciał przyjść nieszczęśliwym, których rozpaczliwe jęki wznosiły się ku niebu, ciągle puścił się deszcz rzęsimy, ulewny, który dopomógł do ugaszenia pożaru więcej niż ludzie, co go zalewali i rozorywali. Na ostrokołach broniono się ostatkiem kamieni i drzewa, w końcu z pożaru chwytając rozżarzone głownie i ciskając je na oblegających.

Ci spostrzegłszy, że ogień, na którego pomoc rachowali, przygasał, omyleni w nadziejach, z wolna ustępować i chronić się zaczęli od nawałnicy. Z nieba lało owym deszczem łaski i cudu, jakby go modlitwa ojca Gedeona sprowadziła.

Niewiasty biedne nierychło po tym postrachu przyszły do siebie. Kilka z nich, jak nieżywe, z przerażenia popadały. Spytkową zanieść musiano na jej łożo, inne cucić i trzeźwić wodą. Krzyki niewieście tak były przerażające, że Belina, aby ludziom serca nie odbierały, dwakroć z groźbami do nich posyłać musiał.

Na dzień się brało, gdy pożar został ugaszony i deszcz też począł ustawać; a co rzadko w jesieni, po gwałtownej ulewie, nad rankiem wiatr się obrócił, porozrywał

gęste chmury, odsłonił niebiosą, zapowiadać się zdawała pogoda. Byłóż to wróżbą czy losu urągowskim? W dolinie dymy się wlokły, od powodzi wezbrana rzeczka i moczary jakby jednym wielkim wydawały się stawem. Stogi siana dla koni poskładane widać było pochwycone i rozsypane. Stada cisnęły się ku lasom, ludzie brodzili w kałużach. Blask dnia przeglądał się w obmokłych łąkach. Ranek coraz jaśniejszy się robił.

— Na wały! Do ostrokołów! — krzyczał stary Belina.

Ściągali się wszyscy na stanowiska, a gospodarz znów na wrota wszedł

popatrzeć, co się dokoła działo.

A działo się tu coś dziwnego, co trudno było zrozumieć.

Choć dzień rósł i słońce już wschodzić miało, w całym obozie poruszenie widać było gorętsze, zwawsze, pospieszniejsze niż wczora, lecz jakby ku innemu jakiemuś skierowane celowi. O grodzisku zdawano się zapominać.

Namiot Masława widać było jak na dłoni. Tu konie uzdano, ludzie się kupili pospiesznie, robiono coś około samego namiotu, jak gdyby go zwijać miano.

Wybiegali zeń ludzie jedni, przyjeżdżali czwałem drudzy. Nawoływano i trąbiono w rogi. Kupy ludzi, wczoraj rozpierzchłe bez ładu, zbierały się, ustawiały. Krzyki i odgrążania się ustały; cała ta ciżba jakimś przygotowaniem pilnym była zajęta. Ci nawet, co pod samym Horodyszczem całą noc przesiedzieli, rozeszli się od pogaszonych ognisk precz i z gromadami w dolinie połączyli.

Nad wieczorem i nocną porą przed ulewą Sobek słyszał i podpatrzył, że przy ogniach na nowo hacie i mosty na rzeczce i trzęsawiskach naprawiać zaczęto, teraz dano znać Belinie, że robotę porzucono i ludzie stamtąd także odciągnęli.

Co miało znaczyć to zbieranie się nagle w dolinie, ruch niespokojny, zapomnienie nade wszystko o grodku zagrożonym, nikt sobie wytłumaczyć nie umiał. Jedni widzieli w tym cud zapowiedziany, drudzy lękali się napaści nowej, z większym ładem i siłą przygotowanej. Niezrozumiałe te ruchy tym straszniejszymi się wydawały.

Gdy słońce weszło, namiot Masława ściągnięty już był i na wóz rzucony. Sam on w stroju pańskim, w którym tu przybył dnia pierwszego, wyjechał z drużyną w dolinę. Przejeżdżał od gromady do gromady, jakby je opatrywał i ustawiał. Tłum ten, wczoraj wrzawliwy i zuchwały, milczący był jakiś i zaprzątnięty. Nikogo nie zostawiono przy Horodyszczu, tak że załoga mogła znużona, pokładwszy się za ostrokołami, spocząć bezpieczniej, dopóki by znów do walki powołaną nie była.

Czasu tego użył stary dowódca, nakazując z rozebranej szopy, z nie

dogorzałych stajen znosić kłody na górę i przysposabiać się do odparcia nowej napaści.

Trochę swobodniej oddychali wszyscy. Niewiastom, jak to zwykle trwoga i wesele, smutek i uśmiechy łatwo i prędko po sobie przychodzą, wróciła zaraz nadzieja i umysł swobodniejszy.

Tomek miał czas pójść do matki i Zdany, a że Spytkowa, po nocnym

przestrachu nie ozdrowiawszy jeszcze, leżała, a Kasia w pierwszej izbie była z siostrą jego, mógł się i do niej przybliżyć. Błada jego twarz, ślady krwi od ran, obudziły w dziewczęciu uczucie, które się śmiałym objawiło wejrzeniem.

— O! — śmiała się Zdana. — Kto by temu uwierzył, że ta słaba Kasia wczoraj się do siekiery brała i ledwie ją było można utrzymać.

Wydane z tajemnicy dziewczę zarumieniło się, odwróciło oczy, ukryło twarz, chciało się tego zapierać, lecz stojące niedaleko dziewczęta poświadczały. Tomko patrzył na nią z radością i dumą.

— Jeżeli nam Bóg życie ocali cudem jakim — odezwał się Tomko do siostry,

— będziemy kiedyś mieli co przypominać. Co się tu działo, przeżyło, temu się później uwierzyć nie zechce.

— O, prawda — mówiła Zdana, wyręczając Kasię, której oczy mówiły za usta

— prawda! Mnie się i teraz wszystko, gdyby jakim snem wydaje! Nie wiem już sama, kiedy śpię a marzę, a kiedym na jawie.

Spytkówna główką potrząsała, to patrzyła śmiało, to wstydząc się spuszczała oczy, to je podnosiła zuchwale, to spotkawszy wzrok śmielszy jeszcze od swego, musiała zmrużyć powieki.

— Bolał was rany? — zapytała po cichu, chcąc przecie co powiedzieć.

— Nie — rzekł Tomko. — Co to za rany! Boli mnie to, że wy u nas taką złą i niespokojną macie gościnę, że się aż siekiery brać musicie.

Zarumienione dziewczę potrząsało główką, długa kosa złocista zawinęła się jej na ramię. Zajęła się kosą.

— A bez tej gościny — rzekła wreszcie — to byśmy chyba w lesie z głodu mrzeć musiały!

Widząc, jak im słodko oczy latają, Zdanie się Mszczuj przypomniał

niewdzięczny. Cicho spytała brata o niego, on tymczasem wzroku z Kasi nie spuszczał. A było mu dobrze, jakby ta czerń nie stała już u progu, jakby życie nie wisiało na włosku, jakby na świecie stała się wiosna i pokój. Zapomniał o wszystkim, bo było mu błogo...

— A kiedyż się to skończy! — westchnęła Zdana.

— O, skończy się i szczęśliwie! — dodała Kasia. — Ja się nie lękam! Ojciec Gedeon mówił, że Bóg cud uczyni!

— Dla mnie choćby najszczęśliwiej poszło, to mi nigdy szczęśliwiej nie będzie — odezwał się Tomko cicho. — Jakby lepsze czasy nadeszły, wy stąd od nas wyciągniecie w świat a z wami...

Kasia się przestraszona cofnęła, chwytając rękę Zdany, Tomko nie śmiał

dokończyć.

Popatrzały na siebie dziewczęta. Dobra siostra, Kasię przyciągnęła ku sobie, z nią razem zbliżając się do brata.

— Posłuchaj no, co Tomko ci mówi — szepnęła natrętnie. — Ja ręczę za niego, on prawdę powiada! Ja wiem!

Resztę skończyła na ucho.

Kasia cofała się, oglądała, niby słuchać nie chciała, a słuchała z uśmiechem i rada.

— Ej, matusia jak podsłucha, jak zobaczy! — mówiła żywo. — Ja się boję...

— Byle Bóg dał koniec temu — począł, spiesząc się Tomko — jak miłościwa pani, matka wasza posłuchać mnie nie zechce, jak... mi was odmówią, Bóg widzi, choćby gwałtem porwać przyszło, a będziesz moją!

To mówiąc, zawrócił się Tomko i pierzchnął.

Kasia dokoła powiodła przestraszonymi oczyma, czy kto nie podsłuchał.

Zdana jedna tylko, a ta ją pocałowała w czoło i ucisnęła milcząca.

Starszyzna cała, stojąc nad wrotami, radziła.

— Co się stało z nimi? Co się stało? — mówiono. — Po co się oni tam kupią i gromadzą? Dlaczego nam dali spocząć? Co się tam dzieje w dolinie?

— Ani chybi — mówił podejrzliwy Lasota — to chytry wybieg tego motłochu.

Chcą, żebyśmy się ubezpieczeni poczuli, aby potem napaść i wziąć nas łatwiej, jak pilności nie będzie. Jużci tak nas opuścić nie mogą.

— Tyle trupa zostawiwszy! — dodał Toporczyk. — Nawet stosów nie ponakładawszy, porzucili je.

— Mają nas chyba za głupich ludzi — rzekł Belina — myśląc, że się im jak dzieci wziąć damy.

— Kto wie, co Masław wymyślił — mówił Wszebor Doliwa. — To pewna, że nas nie rzucą po dobrej woli!

Rozprawiano, patrzano, nikt nie rozumiał, co się działo i dlaczego tak nagle się zmienił szturm wczorajszy w dzisiejszy spokój.

Wyszedł i benedyktyn na pomosty.

— Ojcie Gedeonie, poczęto wołać, ty nam powiesz chyba, co się to dzieje!

— Wojennym mężem nie jestem — rzekł kapłan spokojnie, oczyma wodząc po dolinie — jedno tylko wiem i widzę dniem i nocą, że kogo Bóg łaską swą ocalić zechce, temu z niebios zsyła pomoc niespodzianą. Na pożar ulewę, na znużenie spoczynek, Bóg wielki!

Gdy w serca jednych wstępowała pociecha, drugie rozpacz ogarniała i trwoga.

Groźny wczoraj, opierający się lud, doczekawszy ranka, gdy ujrzał Masławowe gromady uchodzące w dolinę, zawiedziony w nadziejach jęczał i przeklinał. Rozbici i porozdzielani małymi kupkami po okopach, siedzieli starzy pogrążeni w sobie, młodzież się po ziemi tarzała. Niewiasty z dziećmi odosobnione w podwórzu płakały. Wszyscy obawiali się zemsty, przeklinali swoich, zawodzili pieśni pogrzebowe. Pospólstwo także nie wiedziało, co znaczył ten pokój nagły po wczorajszej walce, gdy dziś, Horodyszczę słabsze już by się obronić nie mogło.

Wczoraj gwarny grodek olszowy stał się milczący, zdawał pusty. Z okolicy ledwie gwar niezrozumiały dochodził nie kiedy z wiatru szumem; ozwał się róg wojenny i umilkł. Tłumy się jednak nie rozchodziły. Obozowisko wróciło ponad rzeczkę, oparło o las jedną stroną i tak się na coś oczekiwać zdawało. Myślano, że na posiłki nowe, lecz do zdobywania Horodyszczu nie były one potrzebne, mieli nań siły aż nadto wystarczające.

Poturga nawet, co wczoraj w cud boży nie wierzył i Bogu mocy poratowania obleżonych zaprzeczał, stał zamyślony, sam nie wiedząc, co miał trzymać.

Przepowiednia wczorajsza ojca Gedeona przychodziła mu na myśl jak groźba i mrowie po nim przebiegało.

— Teraz to, zawołał mimowolnie Belina, — zdałby się ów zachwalany Sobek Spytkowej!

Bartnik, który pod ścianą stał na uboczu, uśmiechnął się i nisko pokłonił.

— Niech no się trochę zmierzchnie — rzekł szepleniąc — jeżeli się nic nie odmieni, to się spuszczę z wałów i powlokę.

Nie zmieniło się nic do wieczora, krzątanie się, ruch ciągle trwały na dolinie, a nawet powiększały. O mroku szybko idący oddział nowy z lasu się wysunął, witany krzykami, i z Masławowymi kupami się połączył. Ci, co ludzi umieli poznawać po odzieży i broni, wołali, że to byli Prusacy. Wszebor też potwierdzał. Inni za Pomorców ich mieli. Oddział ten osobno się położył obozem w pobliżu.

Horodyszczu na dziś nic się nie zdawało zagrażać. Rozstawiwszy czaty, starszyczna poszła do izby spoczywać.

Sobek zniknął o mroku.

Wieczora tego nie było rozmów ani sporów, wszyscy, gdzie kto padł, pospali się, radzi, że oczy zamknąć mogą. Straże się tylko mieniały, budzono starszyczkę po kolei, szli jedni, pokładali się drudzy. Na Horodyszczu cicho było, aż straszno.

Niewiastom zdawało się ciągle, jakby je miała znowu rozbudzić luna i wrzaski.

Nade dniem starsi, którzy długiego snu nie potrzebują, poruszyli się wcześniej; młodzież jeszcze odpoczywała snem kamiennym, niekiedy przez sen wydając okrzyki wojenne, gdy stary Sobek zjawił się w izbie i ognisko zgasłe począł

rozpalać, bo i sam się rozgrzać potrzebował.

Zastał go tu Belina i pospieszył ku niemu.

— Tyś to? — spytał.

— Jam ci, panie, jak widzicie! Tyle, zem po ziemi pełzając, zwał się cały.

— A przyniosłeś co?

— Jak nic! — westchnął pomieszany Sobek. — Pod same namioty się wkraść udało, a nic nie zdobyłem. Zdaje się, że nieprzyjaciela jakiegoś się spodziewają. Ano kogo, skąd, pochwycić niepodobna. Masława ludzie chodzili po obozie zapowiadając, że kupka jakaś nieznaczna się tu wlecze, że ją jak robaka po deszczu zdepczą. Od wczoraj piwem lud poją, broni rzucać i kłaść się zakazano, a kupy się trzymać.

Sobek był widocznie zgryziony tym, że mu się wyprawa nie powiodła i tak jak z niczym powrócił. Spytano go, czy nie słyszał co o Horodyszczu.

— Lekko oni sobie nas ważą — odparł stary. — Mówią, że wezmą, kiedy zechcą, ani się o to troszczą. Pilno im teraz znieść nieprzyjaciela, na którego się zasadzili.

Poczęto tedy odgadywać, kto mógł być tym nieprzyjacielem Masława, który z Czechami unikał walki. Godzili na to wszyscy, iż to być musiała jakaś garść rycerstwa polskiego.

— Jeżeli to ci, na których myśmy trafili — dodał Wszebor — którym stary Trepka dowodzi, zaprawdę zyszczem tylko tyle, że nim sami klęskę poniesiemy, na ich rozbitcie i rozproszenie oczy nasze patrzeć będą musiały.

Wszyscy posmutnieli.

— Ale nie może być — dodał Doliwa — ażeby oni szczupłą garstką ważyli się na tłum ten porywać.

— A jeżeli o nim nie wiedzą i wpadną w zasadzkę, a na nich się porwie? —

rzekł Lasota.

Nie odpowiedział Wszebor rychło.

— Bóg niech strzeże! — odezwał się ponuro w końcu. Mężni to ludzie i rycerstwo najprzedniejsze, ale jeden dwustu lub więcej stać nie może, chyba w bajce.

Gdyby jeden lepiej zbrojny był i największego serca, dziesięciu powaliwszy, w końcu sam paść

musi.

Westchnienia z piersi się wrywały.

— Miałże Trepka ciągnąć w tę stronę? — pytali, patrząc na Wszebora.

— Jako żywo, w myśli tego nie mieli, owszem, gdym ich o to prosił, odmówili mi.

— A jakież inny oddział mógłby być, gdyby nie oni? — zapytał Lasota. — O

żadnym dokoła nie wiemy, ani być może.

— Wszakże i o Trepce nie mieliśmy wiadomości — rzekł Doliwa — a przecie się znalazł. Dlaczegoż by i inni tak samo nie mieli się tu zabłąkać? Trudno tylko, przypuścił, aby kto szedł nieopatrznie i nie wiedział o Masławie, lub wiedząc o nim, chciał się z nim mierzyć. Policzcie, co tam tego mrowia!

— Czerń jest — rzekł Belina.

— A między czernią są i lepiej zbrojni, których Masław dobrał i nauczył, —

mówił Doliwa. — Sama ta tłuszcza nie wiele by mogła, a gdy wojaków poprze, straszną będzie.

Tak rozprawiali smutni. Sobek z głową spuszczoną wycofał się mrużąc, nierad z siebie. Radość i otucha powzięta z rana zmieniała się w obawę. Męczeństwo obłożonych przedłużało się; spodziewać się polepszenia losu, oswobodzenia nie śmiał nikt. Na sercach było ciężko. Nie mówili sobie, co myśleli, lecz z oczów czytali straconą nadzieję. Długoż się jeszcze miała przeciągnąć ta niepewność i oczekiwanie?

Wieczór cichy, spokojny, mroźny, z wolna zstępował w dolinę, niebo się na chłód wyiskrzało, gwiazdy wschodziły wesole, w dali znowu znane zapalały się ogniska i dym z nich słupami podnosił się nad lasy. Gwar jak z ula słychać było od obozowiska, rzenie koni i trąbienie w rogi. Niebo ciemniało, gwiazdy błyszczały coraz jaśniej, noc nadeszła bez senna.

Rozdział III.

Nad ranem czatowały straże na ostrokołach, czy się gromady nie ruszą ku Horodyszczu; stały one w miejscu jak wczoraj, czekając rozkazu, skupione w porządku. Jeźdźcy trzymali konie przy sobie, zawczasu je pobrawszy od stogów, kilku wysłańców w pędzie rozbiegło się na różne strony. Dzień wszedł jasny i mroźny, szronem okrywając drzewa i trawy, w miarę jak słońce podnosiło się ku górze, biała jego powłoka znikwała.

Na gródku wszystko stało w oczekiwaniu trwożnym, tylko ojciec Gedeon wyszedł ze mszą o zwykłej porze, a dokończywszy ją, klął przed ołtarzem i ze złożonymi rękami długo się modlił. Tu go jeszcze na modlitwie zastał okrzyk, którym się pomosty całe i okopy Horodyszczu rozległy.

W dali postrzeżono występujące z lasów i rozwijające się szeroko naprzeciw gromadom Masława

wojsko jakieś.

Możnaż je tak nazwać było?

Był to raczej silny oddział zbrojnego rycerstwa, w którym ci, co stali na wałach, łatwo swoich poznali. Liczbą nie mógł się on mierzyć z tymi, których Masław za sobą prowadził, ale rycerstwo to inaczej, świetniej, niemal z cudzoziemska wyglądało; szło tak, jakby za procesją w powadze wielkiej i majestacie. U Masława lepszego żołnierza, na pozór pokaźnego, zaledwie paręset było, reszta tłum z pałkami i obuchami, orężem lichym, w sukmanach, bez żadnej zbroi i że laza, straszny, był chyba mnogością swoją. Oddział, który powoli z lasu się wysuwał, składał się cały z ludzi od stóp do głowy zbrojnych, w znaczniejszej części konnych. Lasota i Belina poznali na jednym skrzydle po uzbrojeniu i dzidach z małymi trójkątnymi chorągiewkami, po czapkach okutych, pod którymi

gdzieniegdzie kity powiewały, niemieckie wojsko jakieś. W pośrodku głównego pułku widać było gromadkę, w której się wodza domyślać było można. Kilkunastu jezdnych w błyszczących pancerzach, z tarczami na ramionach, w pasach nasadzanych, kołem stali przy jednym, którego za nimi trudno dostrzec było. Tu powiewała chorągiew nowa z godłem jakimś malowanym. Na wierzchu jej krzyż połyskiwał złocisty.

Obu starym łzy się z oczów potoczyły na wspomnienie czasów Bolka

Wielkiego, gdy rycerstwo podobne na tysiące się liczyło. Teraz została tylko ta garść niedobitków.

Gdy z lasu wyciągając, szeregi owe coraz się pomnażające, szerokie zataczając półkole, jak do boju się ustawiać zaczęły, ruszyli się też Masławowi, zatrąbiono w rogi, widać było, jak sam ów kneź nowy biegał pomiędzy kupami, naznaczając miejsca, gdzie która stanąć miała. Liczbą chciał zastraszyć nieprzyjaciela, ludzi rozsypał na wielkiej przestrzeni, wyciągnął ich, jakby chciał szczupłą garść przeciw stojącą pochłonać; rogi odzywały się dziko a coraz głośniej i gromady kołysały się jak zboże na polu, gdy je wiatr ugina. Lecz tłum ten naprzód się nie ruszył.

Stojąca z dala żelazna ściana była jeszcze nieruchoma, milcząca. Poza nią z puszczy wypływały coraz nowe szeregi, a nieme jak pierwsze ustawiały się za nimi.

Trąb ni rogów nie słyhać tam było, ludzie stali jak posągi spiżowe.

Ze strony Masława wrzawa się poczęła, rosła, podnosiła się, jakby

nieprzyjaciela nią chciano zastraszyć; ludzie podnosili pałki i grozili, wyzywali i śmieli się, lecz wrzaski te rozbijały się o żelazną ścianę.

Drgnęły na ostatek szeregi rycerskie, konie się poruszyły, dzidy pochyliły, powiały kity, zaszeleściła chorągiew, zatrzeszczały zbroje i cały ten zastęp jako jeden mąż sunął się, zrazu wolno, potem coraz szybszym krokiem, wprost w sam środek gromad, gdzie Masław, miotając się, dowodził i do boju zagrzewał.

Cizba w dolinie niby się też dźwignęła, ale lękliwie i leniwo.

Wtem żelazni, ze wzgórza małego spuściwszy się ku niej spadli całym ciężarem swym i pędem na tłum, który nacisku nie strzymał i rozpięchł się, rozbryztał na wsze strony przy pierwszym starciu. Niedługo jednak trwał ten popłoch; Masław ze swymi stawił czoło. Zwarli się, z obu stron na siebie przypadając, spleli, zmieszali, i ręczna walka mieczów i toporów, dzid i pałek poczęła.

W środku widać było Masława, który sam mężnie do boju wystąpił, z mieczem podniesionym godząc ku temu miejscu gdzie wodza przeczuwał.

Rycerstwo go zewsząd osłaniało. Trzy razy rzucał się tu Masław i zasypany ciosami mieczów cofać musiał, za każdą razą wracając z pozbieranymi towarzyszami.

Pierwszy szereg ludzi jego padł cały od miecza i dzid rycerzy, drugi po nim zajadle szedł do boju, lecz i ten już łamał się, padał i szczyrby widać w nim było.

W pośrodku przy wodzach bitwa się prawdziwa toczyła, na dwu skrzydłach mniejsze zbrojnych oddziały, wpadłszy na piesze pospólstwo, od razu je rozproszyły, gnały do lasów, siekły i mordowały. Tu popłoch jakiś straszny bronić się nawet nie dawał; tłum, który na oko tylko powiększał kupy knezia płockiego, niemal cały zbiegał do pobliskich lasów, zostawując wodza swojego z jego żołnierzem, mało co liczniejszym nad zastęp Niemców i Polaków.

W tych czuć i widać było wojaków starych, nawykłych iść na nieprzyjaciela jak na wesołe łowy, gdy młodzi nowozacieżni Masława w pierwszym polu nie dostawali im kroku, Skupiali się koło niego, bili zajadle, namiętnie, uchodzili nagle, powracali zrozpaczeni, a męstwo zimne żelaznych ludzi brało widocznie górę.

Gdy gromady w lasy z krzykiem rozbiegły się i skryły, a główne dwa oddziały toczyły jeszcze bitwę zajadłą, której końca trudno przewidzieć było, na Horodyszczu Wszebor, Toporczyk, Kaniowa, co było młodszych a gorętszego ducha, nie pytając nawet starego Beliny, pozbiegali ze swych stanowisk.

Strzymać ich było niepodobna.

— Na koń! — krzyczał Wszebor. — Weźmiemy ich z drugiej strony. Na koń, w pomoc naszym!

— Na koń! — rozległo się z końca w koniec Horodyszcza. Co żyło, biegło, skakało z pomostów, rwało się do szop po konie, bo od rana wszyscy mieli na sobie kaftany i zbroje. Z końmi uwinęli się rażno, nie bardzo je strojąc, nie było na to czasu; lada kawał sukna i uzda starczyła.

Belina, który na to patrzył, nie mówił nic, więc jakby pozwalał, oprzeć się nie mógł, serce mu też biło ku swoim. Tomko, syn jego, przyłączył się do wycieczki; odbito co najrychlej wrota i ledwie staremu udało się cząstkę jakąś ochotników powstrzymać, aby Horodyszcze nie opustoszało.

Masławów oddział, zawarłszy się w dolinie z polskim rycerstwem, tyłem był

zwrócony do Horodyszcza, nie spodziewał się też pewnie wycieczki i dopiero gdy nad karkami jego tętent się dał słyszeć i okrzyki, część jego się zwróciła. Postrzegli, że nieprzyjaciela, choć nielicznego, mieli z drugiej strony.

Wszebor, Mszczuj i ich towarzysze wpadli na tylne szeregi, nim się ku nim czas obrócić miały. Masław, wzięty między dwa żelaza, nie uszedł z placu, trzymał

się uparcie, odcinał wściekle. Widać go było z zakrwawionym mieczem, z rozpaloną twarzą, biegnącego od jednej do drugiej gromadki swoich, gdzie ludzie słabli i poparcia było potrzeba. Wszebor, który nań czatował i ku niemu zmierzał, ścigał go na próżno, sam chcąc się z nim potykać. Rozdzielał ich jeszcze szereg broniący się i osłaniający swojego dowódcę.

— Ty psie ryzy! — krzyczał z całego gardła Doliwa, podjeżdżając z dzidą na Masława. — Sobako ruda! Chodź tu, nie tchórz, zbliż się, popróbujmy się z sobą!

— Żmijo jakaś — odparł Masław postrzegłszy go — mam ja ci zapłacić za służbę! Chodź, lisie śmierdzący, co się do kurnika podkradać umiesz! Chodź!

Zobaczmy, czy się bić potrafisz tak, jak pełzać.

— Chodź, pastuszy synu! Chodź! — odpowiedział Doliwa. — Gdzieżeś to trzodę zostawił?

— Czekaj, parszywcze! Dam ja ci biczem pastuszym! — wrzeszczał, nacierając, Masław.

Łajali się tak i bezcześcili, przedzierając ku sobie, lecz ile razy Masław ku Wszeborowi się zwracał, napierano go z tyłu, odcinać się musiał. Doliwa wyzywał ciągle.

— A nuże! A nuże, ślimaku! Co to ci tak niesporo! Chodź, psiarczyku, do mnie, czekam!

Wydobywszy się w końcu, Masław stanął przeciw niemu, ale dzidy już okutej nie miał, tylko obłamany jej kawałek, który z całych sił cisnął na Wszebora i tylko go po ramieniu drzazgą podrapał. Wszebor, oszczepem rzuciwszy, konia mu ranił w szyję.

Zbliżyli się już tak ku sobie, że walka na miecze tylko dalej iść mogła. Masław miał obosieczny, szeroki, ogromny miecz saski, którym oburącz zmierzył, chcąc ciąć w szyję Doliwę. W tej chwili Wszebor swoim zamachnął tak, iż cios odbił. Miecz Masława zadźwięczał, jakby jęknął, wywinął mu się z dłoni, zwisnął, lecz nie wypadł z ręki. Klnąc, pochwycił go Mazur natychmiast i konia naparłszy, powtórnie zamierzył się do cięcia. Stało się to właśnie, gdy zwawszy Wszebor już go swoim żelazcem w bok uderzył, Masława cięcie straciło siłę, jednak padłszy na kark Wszebora, krew z niego dobyło.

Walczyliby dłużej, bo Doliwa nie czuł krwi utraty, lecz i z tyłu Masławowi pierzchali, naciskani przez Polaków i Niemców, obejrzał się, słysząc ich krzyki, uląkł widząc, że ze zbyt małą garścią pozostał, zawrócił nagle, i nim Wszebor w pogoń się mógł puścić, znikł mu z oczów za tłoczącą się zgrają. Pod nogami też konia leżały trupy i ranni, tak że ścigać nie mógł Doliwa i oszczep tylko na przepadłe za nim puścił.

Zamieszanie, walka ostatnia ogarniętych szaleem prawie, straszliwe były; żelazne rycerstwo nawet miało się dobijając, upojone krwią, nie szczędząc nikogo.

W dolinie widać już tylko było uchodzących konno i pieszo, pojedynczo i garściami, pogonie i rozpaczliwe starcia, w których Masławowi żołnierze padali.

Niektórzy z uciekających ranni zsuwali się z koni na ziemię, inni wieszali im na szyjach, niektórzy pieszo uchodzili, krwią brocząc, przyklękając co kroku, podnosząc się, czołgając, póki nie padli twarzą o ziemię raz ostatni.

Masław z tymi, co go jeszcze otaczali, przebił się z pośrodku rycerstwa, ogromnym głosem rozpacz i gniewu pełnym nawołując ku sobie, nakazując trąbić w rogi i gromadzić rozpierzchniętych. Udało mu się niedobitki pościągać. Jeszcze raz uderzyli na zwycięzców, których liczba tak była stosunkowo niewielka, iż Mazur mógł się jeszcze na nią pokusić.

Ostatni wysiłek nie trwał długo, świeży oddział z Horodyszczu z dawnymi zarazem bojownikami z taką zapalczliwością rzucił się na Mazurów, iż kupka ta rozsypała się i pierzchnęła. Widać było, jak Masław sam konia w tył zwróciwszy zawrócił, puścił się ku lasom, a na ten znak odwrotu, co żyło jeszcze, poczęło uchodzić, miotając przekleństwa i groźby.

Odbiegłszy staj kilkoro, kneź zatrzymał się na pagórku i podniósł miecz krwawy.

— Nie zostanie z was ni nogi! — krzyczał. — Zaleję was, zasypię, nie daruję życia nikogo. Wróćcie ja do was! Znajdę ja was! Z Niemcy waszymi razem i z psami wisieć będziecie na jednej gałęzi.

Wrąc z gniewu, urywanymi wyrazy namiotawszy przekleństw, zwrócił się wreszcie widząc, że się za nim puściło kilku, i w las uszedł ze swymi.

Zwycięstwo zostało przy rycerstwie, które znużone, podniósłszy ręce, poczęło wołać na pobojuwisku:

— Hosanna!

Dopiero teraz mógł się Wszebor przybliżyć i przypatrzeć tym mężnym

rycerzom, którzy w tak szczupłej liczbie na Masławowe gromady się ważyli.

Większa część wojowników pozisała z rannych koni i popadała na ziemię, inni zdejmowali żelazne hełmy ze skroni i chowali miecze, z których krew ciekła.

Wszystkin twarze pały jeszcze bojem i jaśniały zwycięstwem.

Wszebor zbliżał się ku nim, gdy nagle rozstąpili się na koniach stojący jeszcze w pośrodku i spoza nich ukazał się oczom jego królewicz, a teraz król Kaźmirz.

Polacy i Niemcy kołem go otaczali, winszując dobrej wróżby zwycięstw.

Z oczyma spuszczone ku ziemi, jakby się modlił po cichu lub zadumał, Kaźmirz stał, nie okazując twarzą wielkiej radości. Oblicze jego było piękne, młodzieńcze, lecz już próbami przecierpianymi, ciszą klasztorną, zawodem doznany od ludzi, smutkami wczesnymi wielu odarte z wyrazu młodzieńczego wesela i swobody. Był przedwcześnie dojrzałym i jakby zestarzałym. Królewski majestat miał na twarzy chrześcijańską obleczony pokorą, wielkim spokojem i męstwem.

Słusznego wzrostu, postawy zręcznej, gibki i silny, Kaźmirz twarz miał nieco bladą, cerę śniadawą, czarne, wyraziste oczy długimi ocienione rzęsami, włos ciemny, w puklach spadający na ramiona. Rycerski to był mąż, ale w rycerzu wodza i króla zarazem widać było; tak wielką obleczony powagą, smutny prawie stał na tym pobojuwisku pierwszym, po pierwszym swym zwycięstwie.

Wśród niemieckich wojowników i polskiej swojej drużyny wiernej,

najmłodszy może, najbardziej pańsko wyglądał, królewsko, choć najmniej starał się o to. Strój jego też wspaniały, acz skromny. Na frankońską suknię krótką wdziany miał pancerz naszywany wielkimi blachami żelaznymi, które jasno na piersi jego świeciły; pas rycerski, drogi; kamieniami sadzony, utrzymywał miecz obosieczny i tuż przy nim na łańcuszku mniejszy, ozdobny mieczyk z rękojeścią złocistą się zwieszał. Na nogach także żelazne blachy miał naszyte, a u lewej widać było długą spiczastą ostrogę.

Tuż za nim stojące młode chłopię trzymało piękną tarczę, w której środku spiczasty kolec i otaczające go wieńce złotem połyskiwały. Na brzegach też jej gwoździe złote na tle szkarłatnym jak gwiazdki siedziały. Z wielkim mieczem obosiecznym, oznaką pańskiej władzy, stało drugie pachole.

Na głowie hełm miał pozłocisty bez pióra, z żelazcem, które część twarzy i nos okrywało, lecz teraz właśnie zdjął go Kaźmirz i czarne pukle włosów świeciły, połyskując od słonecznych promieni. Na szyi dostrzec było można u góry, na łańcuszku złotym, krzyżyk z relikwiarzem, który odjeżdżającemu wuj w Kolonii dał

z błogosławieństwem na drogę.

Oczy Kaźmirza padły były właśnie na szerokie, trupami zasłane pobojuwisko.

Widok to był dla rycerzy, co się na placu ostali zwycięsko, radosny może, ale dla ludzkiego serca smutny. Po całej dolinie, aż do lasu samego, widać było leżące kupami i pojedynczo zastygłe już pobitych ciała, pokrwawione, poszarpane, ze sterczącymi strzały i oszczepami w piersiach rozbitych. Gdzieś wśród nich dogorywający jeszcze usiłowali się porwać i bezsilnie opadali na ziemię. Wśród ciał

tych leżały konie pobite, stały pokaleczone, pasły się zbiegłe, grzebiąc z obojętnością zwierzęcą przymarzłe i przyschłe trawy na łące.

Z tych gromad tak licznych nie zostało nic oprócz tych, których w ucieczce pozabijano. Prusacy pierwsi, spróbowawszy z wrzaskiem się rzucić przeciw mężom żelaznym, odparci, pierzchli całym oddziałem i nie powrócili więcej. Wielu z nich potopiło się w rzeczce wezbranej, pogrzezło na trzęsawisku, z którego dobyć się nie mogąc, pomordowani zostali.

Ze strony Kaźmirza jeden też prawie całym nie został; ranni, potłuczeni, krwawi byli wszyscy, ale nie zginął żaden. Broniły ich pancerze i tarcze.

Zsiadali teraz z koni, dzidy połamane wbijając w ziemię, a hełmy ciężkie zdejmując z czoła.

Wszebor, ujrawszy tego pana, którego był towarzyszem w pierwszych latach, później dworzaninem i sługą, rzuciwszy konia, radośnie pobiegł ku niemu. Na twarzy jego malowało się szczęście i nieopisane wesele. Dla niego zjawienie się króla było jakby zapewnieniem zwycięstwa. Kaźmirz z dała już zdawał się go poznawać, gdy Wszebor do nóg siedzącemu jeszcze na koniu przypadł, z okrzykiem obejmując je:

— Tyżeś to, Miłościwy Panie? A, co za dzień szczęśliwy!

Wzruszenie mu mowę odjęło, zakończył okrzykiem radosnym.

Nadbiegli już Mszczuj, Kaniowa, nareszcie Toporczyk szczególnie

Kaźmirzowi ulubiony; wszyscy z wołaniem wielkim, z radością niezmierną, z twarzami jasnymi, obstępując go, chwytając za ręce, wykrzykując:

— A witajże nam, witaj Miły Gospodynie nasz!

Kaźmirz, słysząc i widząc te oznaki wesela, zarumienił się wzruszony, łza mu się zakręciła w oku, ręce rozpostarł.

— Witajcie, witajcie, dzieci moje! — zawołał. — Daj Boże, aby dzień ten istotnie lepsze nam i królestwu temu zwiastował! Amen.

— Panie, ty jesteś z nami! — w uniesieniu krzyczał Toporczyk. — Ty z nami i szczęście będzie z nami. Ciebie nam brakło! Wszystko ginęło bez pana i głowy!

Teraz się zmieniło wszystko, powrócą dni dobre!

— Daj Boże! Ale nierychło! Dorobić się ich musimy — rzekł Kaźmirz

poważnie. — Wszystko w bożej mocy!

Okrzyki i wrzawa nie ustawały. Radość zdawała się i była powszechną, choć kto by się pilniej wpatrzył w twarze tych, co Kaźmirza otaczali, a do serc ich zajrzał, zobaczyłby tam razem trwogę, zgryzoty i nieufność. Część tych, co się teraz do króla garnęli, miała na sumieniu jego wygnanie; obawiali się zemsty pana i nieprzyjaciół

swoich, pamiętali swe winy i nie wierzyli, aby król młody miał o nich zapomnieć.

W samym obozie Kaźmirza, na zamku Beliny, mnogo było tych, których głos powszechny obwinał, że się Masławowym zabiegom uwieść dali. Ci trzymali się z daleka, patrzali nieufnie i wątpili o przyszłości. Radość więc była z obawą zmieszana, z zazdrością przeciw tym, co wierni Kaźmirzowi

teraz się o zapłatę upomnieć mogli.

To samo rozdwojenie, które było przyczyną wygnania syna Ryksy, już w obozie jego stłumione, czuć się dawało. Wśród radości na pobożowisku na chwilę może zapomniano dawnych nienawiści i swarów, lecz jutro z pozostałych nasion odrodzić się one mogły...

Na Olszowym Horodyszczu patrzącym na zwycięstwo serca rosły. Nie

wiedzieli jeszcze, kto był przez Boga zesłanym wybawicielem, ale cud przez pobożnego zapowiedziany kapłana już się ziścił. Co żywo na oścież roztwarto wrota.

Belina ze starszyzną, zaledwie teraz dowiedziawszy się o Kaźmirzu, chciał biec do nóg jego.

Zbierali się wszyscy z pokłonem i dziękczynieniem, gdy Poturga, wielce frasobliwy, aby się na nim też nie ziściła przepowiednia ojca Gedeona, przyodziawszy się biegnął do niego, chcąc kajać się, przebłagać i odwrócić, co mu groziło.

Ojciec Gedeon razem z Beliną zbierał się właśnie wychodzić przeciw królowi, gdy Poturga wylękły, zapłakany, do nóg mu padł i objąwszy je wołać zaczął:

— Ojcze! Na miłosierdzie Pańskie, winienem! Zgrzeszyłem! Nie karzcie mnie, oto się kajam i spowiadam przed wami, miłosierdzia prosząc. Zlitujcie się nade mną!

Kapłan cofnął się zdziwiony.

— Czego żądacie ode mnie? Nie rozumiem was — odparł łagodnie.

— Jak to, ojcze? Wyście mi przepowiedzieli, iż cudu do żyję, a sam tylko go nie doznam na sobie, dlatego iż weń wierzyć nie chciałem.

Ojciec Gedeon stanął zdumiony, nie pamiętał już wyrazów wyrzeczonych w zapale i uniesieniu.

— Jam to mówił, ja? — zapytał, oglądając się po przytomnych.

— Tak jest, ojcze! Wyście to rzekli! — odezwał się, głowę schylając Belina.

— Rzekliście!

— Nie wiem! Nie pomnę! Chyba duch jakiś mówił przeze mnie! — odparł

ojciec Gedeon, oczy spuszczaając. — Nie pomnę. — Niech Bóg ci grzech twój przebaczy! Idźcie w pokoju. Jam człowiek. Bóg tylko mocen jest zmienić los nasz.

Modlić się mogę i modlić będę.

Poturga chwycił za nogi kapłana, jeszcze nierad odpowiedzi. Nie puszczał

odchodzących, rozbijał się, ręce łamał, płakał, na próżno się go uspokoić starano.

Działo się to właśnie u wrót otwartych, ponad którymi na stołowaniu leżał stos kamieni do obrony przygotowany. Belina dawał znak, aby iść dalej, spiesząc na powitanie, gdy, wrzask się dał słyszeć z góry, pękła deska i głaz ogromny z hukiem stoczył się z powały; pierzchnęli wszyscy, rozstępując się. Poturga, który klęczał, nie miał czasu się zerwać, głaz spadł nań, trafił w głowę i zabił go na miejscu. Stanęli wszyscy przerażeni, pokłękł przy nim ojciec Gedeon, chwytając głowę, która już trupią okrywała się bladością. Zaczął modlić się po cichu. Byli to przypadek czy palec boży? Sam kapłan, który wyrzeczonej w natchnieniu groźby zapomniał, nie umiał tego wytłumaczyć. Zapłakał nad zabitym. Odniesiono zaraz zwłoki nieszczęśliwego, aby widok ich radosnej nie zatruwał chwili.

Belina, w odświętnych szatach, wraz z synem, ze starym Lasotą i pozostałymi na Horodyszczu władcykami, szedł na powitanie pana. Wszyscy oczy mieli zwilżone, uśmiechające się usta, niewysłowioną radością biły serca wyzwolonych.

Każmirz, już z konia zsiadłszy, obozować się zabierał na pobojuwisku, nie chcąc na oblężeniem długim wycieńczone Horodyszcze z dworem swym ciągnąć.

Wiedział już, co tam wycierpiano, chciał, by wypoczęli oswobodzeni. Gdy Belina ze swymi przyszedł, zapraszając do gródka, Każmirz już był przybycie swoje na dni następne odłożył. Chciał też być razem z towarzyszami swymi i dzielić z nimi niewygody i trudy. Niemcy i Polacy już się na pagórku tym samym, który Masław wprzód zajmował, z namiotami i końmi rozkładali.

Czasu też na gnuśny spoczynek nie było. W jednej bitwie pokonany Masław nie mógł się poddać losowi swemu. Siły miał jeszcze znaczne, sprzymierzeńców, którym ludu nie brakło; wiedział, że Każmirz był słabym i nie miał się na kim opierać. Był to początek walki, lecz do końca jej, odzyskania królestwa, przywrócenia ładu, ukrócenia buntu, obalenia bałwochwalstwa zwycięskiego, wiedzieli wszyscy, jak było daleko. Sam charakter Masława, znany tym, co z nim na dworze razem żyli lat wiele, zapowiadał bój długi i krwawy.

Powrót Każmirza dla sprawy przywłaszczyciela stokroć był

niebezpieczniejszym niż zgromadzone przeciw niemu siły. Osobą swą i imieniem król stał za zastęp cały. Około niego teraz skupiać się musieli nawet ci, co w błędzie dawniej występowali przeciw niemu, ci co z Masławem razem do wygnania go się przyczynili. Widok sam tego odważnego młodziana, wnuka Bolesławowego, który z niewielką garścią ludzi wchodził do spustoszonego i zwichrzonego kraju, obudzał

radość, zapal, męstwo.

Po drodze, z pustych dotąd okolic, jakby cudem wychodziły ocalone gromady; ludzie wybledli, niewiasty odarte, dzieci wychudłe, wyciągające ręce, zbawcę w nim witali. Serca zwątpiałe nabierały męstwa. Po wiekach wielu, na kartach kronik, odbrzmiwa ten okrzyk, którym cały kraj witał naówczas jakby głosem jednym młodego króla:

— A witajże nam, witaj, Miły Hospodynie!

Pomimo tych wróżb, tej radości, która była przecuciem lepszych dni, walczyć trzeba było o pokój, o oswobodzenie, z nie przyjacielem dziesięćkroć liczniejszym, niż była garstka wiernych, co się do króla garnęła.

Gmin, obawiający się pomsty, gotował do rozpaczliwej obrony. Masław, lękający się kary, musiał walczyć w życia obronie, bo dlań przebaczenia nie było.

Każmirz szedł w sprawie krzyża i chrześcijaństwa, Masław w imię konającego pogaństwa, spadku wieków, którego lud bronił zajadle. Bój musiał być strasznym, śmiertelnym, bez przebaczenia i miłosierdzia.

Czuł to król, spoglądając na pobojuwisko trupem usłane, dlatego zwycięstwem cieszyć się nie śmiał, bo ono było za ledwie niepewnym zadatkiem przyszłości.

Zaczynano rozbijać namioty. Każmirz stał otoczony swoimi rozglądając się po okolicy, gdy Belina, ojciec Gedeon, Lasota i inni posłowie z Horodyszczu z odkrytymi głowami przyszli do kolan się pańskich pokłonić. Podnieśli potem ręce do góry wołając:

— Witaj, Miłościwy Panie! Witaj, Zbawco nasz!

Kapłana ujrzawszy, król ruszył się natychmiast ku niemu, schylając do ucałowania ręki jego z pokorą i prosząc o błogosławieństwo. Rozrzewniony starzec krzyż zakreślił nad pochyloną pana głowę.

— Bóg zwycięstwa niech będzie z tobą! — zawołał.

Po nim przystąpił Belina do ręki pańskiej, który zawsze do wiernych sług królowej i syna jej należał.

— Dzieckiem cię widywałem — Panie, odezwał się — a ot mi dziś

przychodzisz aniołem wybawicielem. Bez ciebie żywot mój, wszystkich moich, stare domostwo i ubóstwo moje całe stałoby się tej czerni łupem. Bądź błogosławiony, Panie!

Na próżno potem zapraszał stary króla pod ocalony dach, dla spoczynku.

Każmirz zawczasu objawił wolę swą, aby oblężeni wolni byli od wszelkiej załogi.

Powtórzył więc Belinie obietnice późniejszego przybycia.

Cisnęli się i otaczali Każmirza wszyscy, całując ręce i kraj szaty, nie mogąc się nasycić widokiem tego pana, który przy nosił krajowi nadzieję pokoju. Wszystkie te oznaki przyjmował młody król z pokorą i skromnością wielką, niemal z boleścią.

Mimo woli na myśl mu przychodziła ta noc straszna, gdy spod ojców swych dachu, jak zbieg i tułacz, gnany przez własne dzieci, uchodzić musiał z sercem ściśniętym.

Niejedno czoło z tych, co się przed nim schylało, rumieniło się także tej przeszłości wspomnieniem.

Po chwili król, zobaczywszy namiot swój rozbity i wiernego sługę Grzegorza u drzwi jego, wymknął się z pośrodku otaczających, wszedł do namiotu, nim zasłona za nim zapadła, widzieli stojący w pobliżu, jak padł na kolana, Bogu dziękując.

Na straży pańskiego namiotu stanął mąż, na którego wszystkich się oczy zwracały, który się jak znajomym dawnym uśmiechał wielu i do niego przychodzili też witać się starsi nawet, choć podżyły już człek cale niepocześnie wyglądał. Był to Grzegorz, wierny sługa pański od dzieciństwa. Siwiejący już teraz, pamiętał na dworze dawne czasy, niegdyś Kaźmirzowi był niańką, pierwszy go sadzał na konia, łuk mu chłopięcy naciągał, strzelać uczył, mały mieczyk przypasywał, ptaki dlań hodował. Przywiązał się do królewicza jak do własnego dziecięcia i już go nie opuścił. Człek to był prosty, niepozorny, milczący, ciężki, nieobrotny, ale bacznego na wszystko oka i wielkiego serca.

Gdy królowę Ryksę wygnano z kraju, a Masław począł szczuć i podżegać rycerstwo i możnych przeciwko jej synowi, Grzegorz, płacząc, trwał przy prześladowanym i znękanym panu swoim. Gdy potem i jemu uchodzić przyszło, poszedł za nim na tułactwo, powlókł się do klasztoru i choć zamknięcia w murach znieść nie mógł jak niewoli, dał się z nim w benedyktyńskim monasterze uwięzić.

Gdyby Kaźmirz oblókł był suknię zakonną, Grzegorz wprosiłby się pewnie za braciszka i wdział czarną opończę, ażeby z nim być i przy nim. Kaźmirz płacił mu tę miłość zaufaniem zupełnym i sercem niemal dziecięcym. Gdy z klasztoru wywiedziono na powrót syna Ryksy na tron dziadowski, Grzegorz uradowany jak wierny pies poszedł za nim. W bitwie stał zawsze u jego boku z mieczem gotowym na odparcie ciosu, który by wychowawcowi zagrażał, na noc kładł się w poprzek drzwi, aby nikt nie wszedł do niego, we dnie nie opuszczał też progu.

Starszyzna i rycerstwo otaczające Kaźmirza szanowali Grzegorza, który choć niczym nie był, w istocie stał za wszystkich. Stary, gdy go o co proszono, milczeniem zbywał, do niczego się wdawać nie chciał, pokornie się usuwał przed drugimi, lecz gdy mu się co wydało szkodliwym, umiał po swojemu przeszkodzić i nie dopuścić. Często niewidzialny, zawsze był tam gdzieś w pobliżu, gdzie Kaźmirz się znajdował; ubogiego jeszcze pana on był zarazem skarbnikiem, płatnikiem, szafarzem, często posłem, a odźwiernym i podkomorzym od rana do nocy. Nie pysznił się tym wcale, władynom z poszanowaniem ustępując z drogi i z miejsca.

Ci, co dawniej znali Grzegorza, teraz widząc go znowu, kłaniali mu się nisko, co w nim tajony czasem śmiech obudzało. Człowiek to był, co kochać umiał i nic więcej, o to mu szło, aby mógł bez przeszkody czuwać nad swym kochaniem.

Gdy król się w swoim zamknął namiocie, ci co przybyli z Horodyszczu, poczęli się swobodniej rozglądać po twarzach królewskiego orszaku. Ściskali się i witali jedni, drudzy na widok dawnych przeciwników odwracali z czołem zamarszczonym. Okrzyki słyszeć się dawały, imiona i pozdrowienia. Wszebor znalazł Samka Dryję, Toporczyk ojca swego, inni braci i krewnych a powinowatych.

Radości nie było końca, ale i smutek niejeden przeczuty się sprawdził

Dowiadywano się o zabitych, o popędzonych w niewolę.

Z Kaźmirzem razem przybywał stary Trepka i wszyscy ci, których Wszebor znalazł na obozowisku w lesie. Inne też, błakające się oddziały przyłączyły się w drodze, zasłyszawszy o przybyciu pana.

O kiju, z przewiazaną głową stał tu też i Spytek, nieco podleczony z ciężkich ran swoich, któremu wśród dawnych nieprzyjaciół ciężko się obracać było; tym bowiem, co go uratowali, Trepce i królewskim zwolennikom, pamiętał stary... i własne swe winy.

Wojewoda Topor ścisnął syna po długim niewidzeniu, oplakawszy już zgon jego. Janko należał do tych, co niegdy odepchnięci od dworu, teraz poszli szukać króla po krajach nie mieckich i umieli go skłonić, znaglić do powrotu.

Chwili tej szczęśliwej brakło tylko, ażeby nad nią świeciło jutro równie szczęśliwe i nie groziła jej zmiana. Cieszyli się wszyscy, a wśród radości zasępiły czoła trwogą, co jutro będzie.

Przyjaciół i nieprzyjaciół Belina na Horodyszczce dla spoczynku zapraszał, choć nie bardzo ich miał czym ugościć. Ciągli z nim niektórzy, inni woleli zostać po namiotach przy królu.

Wprzód jeszcze, nim gospodarz sprosił gości, Sobek, jakimś przeczuciem wiedziony, przybiegł tu szukać swojego starego pana, choć w orszaku króla, przeciw któremu zawinił wiele, trudno się go było spodziewać. Nie omyliło go przeczucie: Spytek stał sam jeden prawie, z wozu zlazszy, gdy bartnik do nóg mu upadł i natychmiast naglić począł, aby szedł do żony i córki. I jemu spocząć było pilno, więcej może niż żonę i dziecię zobaczyć, bo surowy dla ludzi, szorstki ze wszystkimi, z niewiastami, cale im nie okazując czułości, był Spytek twardszym jeszcze niż ze swą bracią. Znano go z tych usposobień, z tej dzikości i gorącej krwi, choć w rzeczy złym ani okrutnym nie był. Mężny wojak, w domu też po wojennemu życie prowadził, rozkazywał, a ładu i posłuszeństwa przede wszystkim przestrzegał.

Drżało przed nim, co żyło.

Nigdy może nie spotkały się w małżeńskim sojuszu dwie istoty mniej z sobą zgodne i dla siebie stworzone, jak Spytkowa i jej małżonek. Stary był milczący, gdy nie łajał, szczebiotania nierad słuchał, w niewieście chciał mieć służebnicę milczącą.

Marta lubiła mówić wiele, oczyma rzucać i zalecać się choćby dla zabawy, chciała po trosze też rządzić w domu, małżonkiem kierować z cicha. Wszystko to się nie udawało. Ze Spytkiem wojna była niemożliwą. Musiała ulegać, bo się lękała, i milczeć, bo nie słuchał. Wieki też obojga nie bardzo szły w parze. Stary wojak miał

już pono do sześciu dziesiątków, żona zaledwie trzeci kończyła. Długo się nie żeniąc, bo nie miał czasu, Spytek, na Rusi będąc, skusić się dał pięknym, zalotnym spojrzeniem młodej dziewczynki, nad którą w życiu nie widział śliczniejszej. Dostał ją łatwo u ojca, choć mimo jej woli, bo wcale zań wychodzić nie życzyła. Nie zważano na łzy i dąsania. Małżeństwo to późne ciężko pono Spytek opłacać musiał, lecz nie poskarżył się nigdy. Żony pilnował i trzymał ją w grozie. Kasię kochał po swojemu, ano do niej srogi żal miał, że chłopcem nie była, bo mu więcej dzieci Pan Bóg nie dał. Dziecko więcej się go lękało, niż kochało, bo od ojca oprócz grózb i łajania rzadko posłyszało co innego.

Niewiasty na Horodyszczu na ową bitwę w dolinie patrzyły przez cały czas jej trwania. Hanna Belinowa wywiodła je z sobą, aby też ciekawość zaspokoili. Trudno bo było utrzymać rozgorączkowane. Gdy walka się rozstrzygnęła, radość wybuchła tak wielka, jak wprzód była obawa. Padły wszystkie z okrzykiem na kolana. Potem rozpierzchły się na podwórcach, pomostach, na dole i górze, wszędzie ich było pełno. W tej chwili zapomnienia, szału, nikt nie zważał, co się działo z niewiastami; dano im albo one sobie dały zupełną swobodę.

Dopiero gdy się nieco uspokoiło, rozpierzchłą gromadkę swą stara Belinowa, począwszy od czeladzi, zwoływać zaczęła na górę. Od rana o strawie, o napoju, o ogniu, o tym, co do życia było potrzebnym, zapomniano. Nagle twarze, głosy, wszystko się zmieniło. Cicha niedawno izba na górze trzęsła się od śpiewów, chichotania i bieganiny. Zapomniano o wczorajszej trwodze śmiertelnej, nie myślano o jutrze, porządku, nawet powaga gospodyni utrzymać ich nie mogła. Wyrywało się spod jej panowania całe to niewieście kółko jej podwładne, które wprzód tak potulnie się do niej garnęło.

Spytkowa zarumieniona, rozogniona, spragniona rozpytywania i

rozpowiadania, nie mając mężczyzn, z którymi by rozmowę wolała, zwracała się do płci swej, zatrzymując z kolei wyrrywające się jej dziewczęta. Żadnego jakoś przeczucia nie miała, aby mąż jej miał być tak blisko. Wiedziała od Sobka że żył, lecz smutne jej przychodziły myśli; stary, porąbany, wśród niewygód obozowych mógł umrzeć. Była prawie pewna, że go to spotkać musiało. Sobek obszernie jej rozpowiadał jak straszliwie był rannym, jak leżał bezwładny, nie spodziewała się wcale, aby mógł przybyć z tym rycerstwem, a dowiedziawszy się o królu, któremu Spytek się naraził, tym mniej go tu przewidywała.

Na Horodyszczu oczekiwano przybycia gości, niewiasty gotowały się witać, pytać, znaleźć przyjaciół, krewnych i znajomych. Z tą myślą i Marta Spytkowa, jak mogła, przystroiła się najpiękniej. Sama Kasi zaplótłszy kosy i wybrawszy suknię, jej kazała swe czarne pod czepiec białe poukładać włosy i pomagać sobie do ubrania.

Dobyto suknie ocalone, klejnoty, łańcuch na szyję, kolce złote, dla dziewczęcia naszyjnik, dla matki pierścionek. Marta po przecierpianych trwogach i nie wygodach blada była trochę, lecz oczy jej zawsze tym niewygasłym ogniem błyskały, który jej jeszcze istną młodość dawał. Stała już przybrana na wyżkach, podparta na białej rączce, czekając, azali się kto z pobojuwiska nie zjawi z jaką nowiną, gdy usłyszała w dali gruby głos, głos jakiś, co ją niezmierną nabawił trwogą, tak dziwnie był podobny do tego, jakim Spytek zwykł był łajać ją za dobrych czasów.

Zerwała się przestraszona nasłuchując, nie dowierzając uszom, więcej strwożona niż uradowana.

— Nie myląż uszy? Onże by to miał być?

Spuściła oczy ku wnijsciu w podwórze i oto ujrzała widmo mężowskie. Tak!

Spytek to był! Spytek, którego nigdy pięknym nazwać się nie godziło, który młodym dawno być przestał, teraz zjawiał się o jednym oku krwawym, z wargą siną, obwisłą, z głową chustą zawiązaną, o kiju, zestarzały, kaleka. Wierny Sobek podtrzymywał

wlokącego się powoli.

Na widok ten, jeżeli nie zemdląca piękna Marta, to chyba dlatego, że mąż jej żadnych podobnych oznak czułości nie znosił. Krzyknęła tylko i poczuwając się do obowiązku, zbiegła z wyżek, wielkim głosem wołając na Kasię.

Spytek stał, znanym głosem obudzony, jednym okiem szukając żony dokoła.

Wtem poczuł ją już u nóg swoich, bo niewiasty za onych czasów inaczej mężów nie witały. Schylił się starzec milczący i pocałował ją w głowę. Wtem i Kasia z krzykiem dziecięcym nadbiegła, obejmując ojcowskie kolana. Na te wszystkie miłości oznaki wojak nie odpowiedział ni słowem, pocałował i córkę w głowę, a natychmiast obejrzał się za ławą, bo mu nogi zbolełe drżały i ledwie na nich się trzymał.

Marta, zapomniawszy, że mąż zbyt gadatliwości nie znosił, załamała ręce, puściła wodze językowi.

— A, panie nasz, panie! — wołała. — Gdybyście wiedzieli, cośmy tu

przecierpiały! Boże miłosierny! Tysiące śmierci! Głód, łzy, strach! Któż to zliczy!

Ogień, chłopski bunt! Kto to wypowie!

Znanym żonie rzutem ręki, który usta zamykał, Spytek pohamował jej zale.

Zwrócił ku niej zakrwawione oko, podniósł chustę, którą głowę miał zawiązaną, odsłonił jej krwawą powiekę, pod którą tylko ślad drugiego oka pozostał, i mruknął:

— Kawalka ciała całego nie mam! — Głową potrząsł. — Cud, że dusza w ciele została.

Kasia, płacząc, ręce ojca całowała. Stary przyglądał się ciekawie postrojonym niewiastom, jakby chciał odgadnąć, co tu one bez niego poczynać mogły. Nierychło się pogoją rany moje, nierychło nasze wszystkie, nierychło staną dwory popalone i kościoły! Nie ma dziś dokąd powracać! Kupa gruzu z Ponieca!

Drżące ręce do góry podniósł i zamilkł.

Spytkowa gadatliwa wtrąciła zaraz, jak wiele była winna Wszeborowi i Doliwom. Wszebor zawsze był u niej w łaskach. Dostrzegła pewnie na te sprawy bystre mająca oko Marta, że się Tomko zalecał do Kasi, ale Belinów, choć im schronienie winną była, cierpieć nie mogła. Tysiąc do nich żalów miała. Hanna jej powieści nie słuchała nigdy jak należało, wielu jej zachceniom nie dogadzano.

Tomko się jej nie zalecał wcale. Wszebor i w oczy ładnie patrzył, i słuchał

przykładnie, i posługiwał pani Marcie, choćby się innym przez to naraził. Sama teraz wydać się za niego nie mogąc, gdy nieboszczyk zmartwychwstał, choć córką mu życzyła się wywdzięczyć.

Spytek o Doliwach wspomnienia wysłuchał chmurno.

— Wiem ci o tym, że was ratował — rzekł sucho. — Co za dziw, gach młody że się babami zajął!

Zarumieniła się żona.

— Król Kaźmirz będzie musiał teraz za nas wszystkich dług płacić — dodał.

Po tośmy go przywiedli.

— Młody król! — płaszcząc w dłonie, przerwała Spytkowa. — Chwała Bogu, że nam powrócił.

— A, młody! — z przekąsem powtórzył Spytek. — Tylko babom z tego nie przyjdzie nic, bo na poły mnich!

Zatem, jakby zmęczony, zmilkł stary, na kiju się sparłszy, zamyślił. Żonę i dziecko znalazł, a co teraz z nią i dzieckiem poczynać dalej miał, ba i z sobą, nie wiedział. Wracać nie było dokąd, wojować nie było czym, zostać tu ciężarem na łasce Belinów nie w smak też było możnemu niegdy władcyce. Z krwawego oka spadła kropla, jakby łza.

Na Horodyszczu coraz hałaśliwiej być poczynało, schodzili się goście. Na tak wielką uroczystość zwycięską nie wahał się Belina zakopaną beczkę starego miodu, który się nazywał Mieszkiem, kazać dobyć z ziemi. Dziewki warzyły już solone mięsiwo, pieczono podpłomyki, aby chleb zastąpiły, gotowano kaszę.

W wielkiej izbie na dole ściągano się, co z obozu szło, i na grodzie było słyszeć tych, co Kaźmirza z sobą przywieźli. Szedł stary Janko Topor, siwowłosy wojewoda, któremu syn rękę podawał, przybył Trepka, siedział Lasota i mnoho innych.

Wielu przybycie Kaźmirza niemal cudem się zdawało. Wiedzieli wszyscy, iż zbolały kraj opuścił, wyrzekając się go na wieki, że Ryksa, królestwa tego niewdzięcznego dla syna nie chcąc, korony jego nawet do skarbcza cesarskiego oddała. Chodziły wieści, że Kaźmirz przy wuju w Kolnie oblec miał suknię zakonną, by po nim wysokie w kościele dostojeństwo odziedziczyć. W ostatku, z czymże miał

wygnany pan na nowo dobywać królestwo, zawojowane na pół przez Czechów, Współprzywłaszczone przez zuchwałego Masława!

Gdy goście obozowi weszli do izby dolnej, rozstąpili się przed nimi wszyscy, zapraszając ich bliżej ogniska i pierwsze dając miejsca. Ciekawi byli słyszeć, a nim starzy otwarli Usta, już ich pytaniami zarzucono niecierpliwymi.

Topor Janko na pierwszym miejscu siedział. Mąż to był letni, lecz silny i zdrów jeszcze, z obliczem jasnym i wesołym, z brodą siwą, kędzierzawą a włosami białymi, które mu się w pukle zwijały. Rumiana twarz odbijała dziwnie od tych śnieżnych strojów. Męstwo i rozum lata mu wypisały w twarzy, wśród tysiąca domyśliłby się w nim każdy rycerza i męża do rady; ani na dłoni, ni na sercu i głowie jego nikt się nigdy nie zawiódł. Dopóki słuchał go Mieszko, dobrze mu z tym było, póki za

radą jego szła Ryksa, nie żałowała. Ludzie zazdrośni podali do uszów pańskich, że Topor panować chciał i władać. Odpychano go powoli od dworu, od proggu, od ucha, i poszedł w końcu na Tęczyn siedzieć spokojnie, na jelenie polować.

Dopiero gdy i Kaźmirza wygnano, gdy Kraków, Poznań, Gniezno Czesi

złupili, gdy Masław świętokradzką ręką po koronę sięgnął, wstał stary Janko na nogi i rzekł:

— Nie czas już u ogniska siedzieć.

On to, zgromadziwszy ocaloną starszyznę, nakłonił ją, aby szła z nim szukać pana, zamiast ręce łamać i podać je w pęta. On z gromadką wierną Piastom puścił się po dziedzica korony.

— Cuda miłosierdzia bożego! — zawołał Lasota, stojąc przy Janku, który u ogniska miejsce zajął. — Jakże się to wszystko stało? — Jakeście znaleźli króla, jak matkę nakłonili, ażeby go nam oddała?

— Aniśmy próbowali tego, co niepodobnym było — odparł Topor.

— Któż z was królowej nie znał? Święta to pani była ano, pamiętna zawsze, iż się z cesarskiej rodziła córki. Na naszej ziemi mieszkając, nigdy jej nie umiłowala, gościem będąc między nami. Sercem i duszą zawsze w Niemczech swych żyła.

Myśmy jej świeżymi pogany cuchnęli. Słyszając, co się u nas dzieje, jakżeby była mogła syna dać nam na ofiarę!

— A jakże się to bez niej stać mogło? — zapytał Belina.

— Wolą bożą i łaską — ciągnął dalej Topor. — Wiedziałem ja, że się bez cesarza nie obejdziemy i że od niego ratunku spodziewać się możemy. Czech, co nas niszczył i wojował, z czasem i jemu się stać mógł groźnym. Pojechaliśmy więc na dwór Henryka, gdy inaczej być nie mogło. Cesarz zrazu ani przyjmować nas, ani słuchać nie chciał. Precz nam iść kazano. Musieliśmy cierpliwości zażyć. Odpędzeni z podwórców, staliśmy za murami na pośmiewisko czeladzi, wyczekując zmiłowania bożego. Mijał nas Henryk Czarny niejedyn raz, spoglądając tylko, aż mu się widzieć tę gromadę upartą sprzykrzyło. W szczęśliwą jakąś godzinę cesarz w poczcie świeckich i duchownych panów na zamek powracał; pokłoniliśmy mu się wedle obyczaju. Ujrzawszy nas, oczy zatrzymał długo, a w chwilę potem zawezwano już do gospody po wracających, abyśmy szli do niego. Nimeśmy, pokłoniwszy się, mówić poczęli, sam on odezwał się, iż na próżno doń przybywamy, gdyż dla nas i nie może, i nie chce nic uczynić.

— Najmiłościwszy Panie! — odparłem. — Mam nadzieję lepszą w Bogu i w Miłości Waszej. Kościół stracił kraj już nawrócony, cesarstwo też nie zyskało na tym, że się Czesi wzmogli przewrotni, którzy się z posłuszeństwa jego chcą wyłamać. Nie wołająż o pomstę do Boga jakby przez pogan zburzone przez nich kościoły, złupione skarby, zajechane bez prawa kraje? Jeśli papież rzymski, a wy, Miłościwy Panie nie ujmiacie się za nami, zginie kraj nasz, zaleje go pogaństwo, a Rzym i cesarstwo równą poniosą szkodę.

Mówiłem gorąco i ze łzami, cesarz dał ucha. Stał się początek sprawy od tej godziny. Nazajutrz

usłyszałem z ust Henryka, iż ujmie się u papieża za kościołami naszymi, a Kaźmirzowi, jeźliby się do Polski dał nakłonić, sześćset ludzi zbrojnych w pomoc dać przyrzeka. Z pociechą w sercu jechaliśmy stąd, szukając już tylko pana przyszłego. Na dworze królowej Ryksy tajemnicę z tego nawet czyniono, gdzie Kaźmirz był ukryty. Wiedzieliśmy tylko, iż między duchownymi na naukach przebywa, gdyż matka rada by go oblec suknią duchowną. Mówili jedni o Kluniaku, drudzy o Korbei, inni o różnych klasztorach, gdzie by go szukać należało.

Jechaliśmy tedy od jednego do drugiego, pukając do drzwi, jako biedni wędrowcy o gościnę prosząc. Z obawy przed nami nie skryto tego, któregośmy szukali, nie głosiliśmy nawet, po co i dokąd jedziemy, nie śmieliśmy się przyznawać, iż od Gniezna jesteśmy. W klasztorach, gdyśmy o synu Ryksy napomykali, milczano, nie chcąc czy nie mogąc nic o nim powiedzieć. Smutna była to włóczęga, masa ludzi biednych, sierot szukających pana swojego, który uciekał przed nimi.

— A jakżeście go znaleźli? — wtrącił Lasota.

— Jak? Cudem istnym! - rzekł Topor wzdychając. — Nadziejemy już byli prawie stracili. Jednego wieczora, gdyśmy w małym klasztorze benedyktynów na noc przybyli, za stołem siedzieli, pomiędzy innymi pielgrzymami przybyły z Leodium mnich począł braciom swym opowiadać o pobożnym młodzieńcu, który, od niedawna tam z Salfeldu przysłany, naukom się oddawał. A miał być, jak głoszą, możnego, bodaj królewskiego rodu, z cesarskim Ottonów szczeniem spokrewniony, chociaż nazwisko jego tajono skrzętnie. Tknęło nas słuchając, jakoby zrzęczenie boże, ta powieść mnisza skazówką dla nas z nieba zesłaną być mogła. Nazajutrz, nie mówiąc nic nikomu, puściliśmy się w drogę do Leodium jako wędrowcy, a po długim i utrapionym potykaniu się na niebezpiecznych gościńcach, wreszcie zastukaliśmy do klasztoru przy kościele Świętego Jakuba. Wiedziono nas tedy do opata Olberta, który badał nas o podróży, a gdyśmy mu rzekli, iż ciekawość i pobożność prowadzi nas do miejsc świętych, przyjął w klasztorze rozkazał. Już w podwórzec wjeżdżając za ledwie, los zdarzył, niektórzy z naszych, sami nie postrzeżeni, poznali sługę królewskiego Grzegorza, który przy nim był od dzieciństwa; tam pewniśmy byli, iż go tu znaleźć musimy. Z sercami bijącymi szliśmy na wieczerzę do wspólnego refektarza. Lat wiele ubiegło, jak wielu z nas Kaźmirza nie oglądało, przecie rysy jego młodzieńcze mieliśmy wszyscy w pamięci, i gdy odziany czarno wszedł, zabierając naznaczone mu miejsce przy opacie, na widok jego poruszyły się wnętrzości nasze. Królewicz też, choć się pewnie nie spodziewał, abyśmy za nim gonili, i twarzy naszych może nie pamiętał, obaczywszy nas z dala siedzących, poruszył się jakby wspomnieniem jakimś. Uspokojony jednak milczeniem naszym, wkrótce oczy odwrócił. Gdy się wieczerza skończyła i modlitwa dziękczynna odmówioną została, Kaźmirz wstał też z innymi, mając odchodzić.

Niepokój ogarnął nas i dłużej w niepewności po zostać nie dał; zaszliśmy mu u drzwi drogę, padając na kolana. Przeraził się i cofnął, ręce składając a wołając:

— Czego chcecie ode mnie? Kto jesteście?

Mnisi też otaczać go zaczęli, jakby go bronić i odbierać nam chcieli. Wtedy, całując kraj jego szaty, począłem, dobywszy głosu, wołać doń o ratunek i zmiłowanie, jakby przeze mnie wszystka ta ziemia go błagała.

— Panie nasz Miłościwy, ulituj się nad nami! Przyszliśmy aż tu za tobą szukać cię utajonego. Zmiłuj

się nad spustoszonym krajem, w którymś się rodził, nad powywracanymi krzyżami, nad spustoszonymi kościoły, w których dziki zwierz ma legowiska, nad rycerstwem twym na rzeź wydanym, nad łzami i krwią, które płyną nie pomszczone. Błagamy cię, wróć do nas, bądź panem naszym!

Królewiczowi z oczu łzy pociekły i rzekł głosem wzruszonym:

— Stało się to z wami, na coście zasłużyli zdradą względem matki mej i mnie samego; krew królów waszych wygnaliście sami. Dajcie mi spokojnie dokonać żywota mego. Zrzekłem się na zawsze korony ziemskiej, abym niebieską pozyskał.

W ciszy, na służbie bożej żyć chcę tylko...

A gdy się posunął, jakby odchodzić chciał, myśmy na klęczkach zaparli mu drogę i iść nie dali.

— Jeżeli nie nas, dzieci Twoje, ratuj wiarę chrześcijańską, Panie Miłościwy!

— zawołałem, ręce wyciągając ku niemu. Wiarę, którą dziad i pradziad Twój zaszczepili krwią swoją, a którą Ty strzec i pielęgnować obowiązany jesteś. Nie do zakonnej ciszy narodziłeś się, Panie, ale do sądu, do rządu, do walki. Kraj nieszczęśliwy ręce wyciąga ku Tobie. Ratuj! Zginiemy bez Ciebie!...

— Ratuj! — zawołali za mną wszyscy, obejmując nogi Jego.

Płacz nam mowę przerywał, ale i królewicz, i mnisi przytomni płakali także.

Każmirz na zaklęcia i prośby odpowiadał ciągle:

— Nie mogę iść z wami. Cesarski rozkaz, matki mej wolę, własną Bogu uczynioną ofiarę spełniam.

Pokładliśmy się u nóg jego, aż nareszcie mięknąć począł i wahać się w swym postanowieniu. Szliśmy potem z nim rozpytującym się o Polskę, o kościoły i grody, o nieszczęścia nasze, do własnego mieszkania jego, które tuż przy klasztorze miał

wyznaczone. Żył tu prawie jako duchowny, niemało jakoby mnich, z małym dworem, wcale książęcej godności nieodpowiednim, na jednym z mnichami stole, w równości z nimi, na wspólnych modlitwach. Nie zdawał się ani pożądać więcej, ani tęsknić za panowaniem.

— Miłościwy Panie! — mówiliśmy mu. — Nie przynosimy Ci złotej korony, ale cierniową, dlatego przyjąć ją winieneś w imię Chrystusa, który ją nosił. Ulituj się nad biednym ludem! Czech spustoszył ziemię, pogaństwo na wskroś ją ogarnęło znowu, Masław z Prusakami wojuje i zabiera rycerstwo Twoje. Dacież dziełu krwi waszej ginąć marnie?

— Chociażbym wam dał krew moją — odparł Kaźmirz — wyleję ją na

próżno. Dwoje rąk nie starczą na nieprzyjaciela, co ich ma tysiące.

Naówczas dopiero wyznałem mu, iż wprzód, nimeśmy tu przyszli,

chodziliśmy do cesarza, o jego pomoc się upewniając. Poruszył się tedy, poczynając badać, czyśmy u królowej matki też byli, aleśmy wyznali mu szczerze, iż nie szliśmy do niej dotąd wiedząc, że tam błaganie próżnym będzie. Późno w noc, gdy w chórze już na modlitwę dzwoniło, rozstaliśmy się z nim, żadnego słowa nie wzięwszy.

Nazajutrz rano szliśmy wszyscy na mszę świętą do kościoła Świętego Jakuba, a tuśmy Kaźmirza znaleźli krzyżem leżącego. Po ukończeniu nabożeństwa skinął na nas, byśmy mu do mieszkania towarzyszyli. Nie wiedzieliśmy, co z tego rokować mamy. Rzekł nam w progę:

— Natchnienia i woli bożej szukałem w kościele; podał mi Bóg do serca, ażebym szedł z wami. Niech nie będzie rzeczona, że wam życia poskąpił i krwi mojej żałował. Oto mnie macie!

Padliśmy wszyscy na kolana przed nim z płaczem radosnym. Wesele było wielkie a niewypowiedziane. Natychmiast poczęliśmy do podróży czynić przybory, chociaż opat Olbert i mnisi zrazu nam opór stawili, do biskupa Nitharta, który miastem i krajem rządzi, uciekwszy się o pomoc, ażeby Kaźmirza nie puszczano. I myśmy tedy pozwani na zamek biskupi udać się musieli przed pana tego, który tam z rąk cesarskich władzę wszelką trzyma, krzyż w jednej, miecz w drugiej ręce, a we zbroi mszę świętą sprawia i jako król siedzi na tronie biskupim. Ten wysłuchawszy nas, gdyśmy o wiary chrześcijańskiej wyniszczeniu i upadku rozwiedli się, króla nam wydać rozkazał. Sam też Kaźmirz, raz postanowiwszy iść z nami, trwał w swym postanowieniu i dnia trzeciego jechaliśmy z nim do Regensburga, do cesarza Henryka naprzód, przypominając mu jego cesarską obietnicę. Strzymał też przyrzeczenie swoje, nas i Kaźmirza przyjmując wielce łaskawie. Korony obie ze skarbcza wydać nam rozkazał, a poczet ludzi sześciuset, dobrze zbrojnych, natychmiast wysłać z nami polecił.

— Cóż to się Niemcowi stało, że tak dla nas miłosiernym się poczuł? —

bąknął Lasota.

— Nie dla naszej on to miłości uczynił pewnie — rzekł Topor — ale ze słusznej obawy, aby Brzetysław nie wzmógł się w zbytnią siłę, granicę Czech rozszerzywszy. Z Regensburga król do matki chciał jechać, aby ją pożegnać i wziąć od niej błogosławieństwo. Na próżnośmy się starali odwieść go od tego; jako syn nie chciał przeciw woli macierzy i bez jej wiedzy iść. Ulec musieliśmy. Przyszło nam królowej Ryksy szukać aż w Koblencji, gdzie budową kościoła wspaniałego cała zaprzątiona była. Z Leodium wieść już jej podano, iż syn bez pozwolenia na dwór cesarski z nami ujechał, zamyślając udać się do Polski. Zastaliśmy ją wielce zagniewaną i oburzoną. Kaźmirza, przebywającego z nami i z pocztem cesarskim, za ledwie dopuścić do siebie chciała, co on z pokorą zniósłszy, czekał na posłuchanie, a my też, by z nim przyjąć nas raczyła. Szliśmy razem. Patrzaliśmy, jak się kolan jej schyliwszy, u surowej matki nie macierzyńskie znalazł przyjęcie.

— Widzę — rzekła doń — Miłościwy Panie, iż namowy tych, co nas już nieraz zdradzili, większą u Was miały wagę niż przestrogi i wola matki. Chcecie jechać do niewdzięcznego i dzikiego kraju, na łup poganom i nowej zdradzie opuszczacie spokojne schronienie, żywot szczęśliwy. Cóż ja mam rzec na to, aby słowo moje zaważyło? Cesarz zezwala. Wasza Miłość wyrwasz się, na niepotrzebne

narażając niebezpieczeństwa; ja nie mam siły, abym Was powstrzymała. Raz jeszcze tylko powtórzyc muszę, iż się to nie po mej woli dzieje, że tego nie chciałam i nie chcę. A jako Miłość Wasza woli matki nie znasz, tak matka mieniem swym dziedzicznym na chwałę bożą rozporządzi, a nie na rzecz Waszą! Ci ludzie wygnali mnie precz sromotnie, zmusili Miłość Waszą do ucieczki, i mamy się jeszcze dobijać tego mizernego królestwa?

Tak mówiła królowa, a pewnie, gdyby nie owo natchnienie boże i wola cesarza, trudno by było Kaźmirzowi oprzeć się naleganiom i namowom matki. Do ostatniej bowiem godziny odradzała synowi, że skarbów wywiezionych z Polski nic mu dać nie chciała powtarzając, że woli je na chwałę bożą obrócić niż wyrzucić na łup poganom. Takeśmy się z nieprzebłąganą panią rozstali i król pojechał z nami...

— I Pan Bóg mu już dał jedno zwycięstwo! — wykrzyknął Lasota. — Około niego skupi się rycerstwo, odwaga w serca wstąpi, trwoga padnie na Masławawa! Bóg z nami!

— Bóg z nami! — rozległo się po izbie całej i jakby duch nowy wstąpił w piersi wszystkich, powstali, podnosząc ręce a powtarzając:

— Bóg z nami!

Rozdział IV.

Nie było w pobliżu innego bezpiecznego schronienia, w którym by Kaźmirz mógł tymczasową swą założyć stolicę, Olszowe Horodyszcze musiało się nią stać na chwilę. Wnuk Bolesława, co przepych dworu jego pamiętał, tu wśród lasów, na lichym grodku starym musiał gościem być u ziemianina ubogiego. Zamki jego w gruzach leżały. W spustoszonych na wskroś ziemiach po czeskiej łupieży nie został

ni jeden gród cały, ni jedna miejscina, która by jak Gdecz całkowicie wyludnioną nie była, jak Poznań i Gniezno zniszczoną. Tu więc, gdzie Bóg dał pierwsze zwycięstwo, postanowił Kaźmirz czekać na drugi oddział cesarski i na gromadzące się rycerstwo własne; stąd rozesłano po kraju gońców, aby zwoływali, kto żył i pozostał. Stąd gotowano się ciągnąć przeciwko Masławowi wiedząc, iż on ze sprzymierzeńcami swymi silny opór stawiać będzie.

Wśród tych lasów, na świeżym poboju, pogrzebawszy trupy, następnego dnia zaraz na obóz miejsce wytknięto i okopywać się już poczynano. Wkrótce zaczęły nadciągać gromadki rozbitków, które odgłos o przybyciu Kaźmirza z posiłkami cesarskimi ku niemu zewsząd powoływał.

Belina, opróżniwszy część dworca i zabudowań, pana i otoczenie jego na Horodyszcze wprowadził. Wszelkimi sposobami starać się zaczęto o przysposobienie żywności. Co gdziekolwiek ocalało, zwozili i znosili wszyscy, ale dostatku nie było.

Wieść o bitwie pierwszej zwycięskiej cudem prawie z ust do ust się rozchodziła.

Roznosiły ją te kupy, które rozproszono, czerń przerażona, rozbiegająca się po chatach leśnych i chizynach w trwodze o zemstę za dokonane okrucieństwa, sami nawet Masławowi żołnierze.

Ci, co się dotąd po lasach tulili i błakali, spieszyli pod opiekę Kaźmirza.

Smutny był widok tych przybyszów w większej części odartych, wynędzniałych, zbiedzonych, którzy już byli stracili wszelką ocalenia nadzieję, a teraz odzyskawszy ją, jak upojeni biegli witać wybawiciela. Gdyby syn Ryksy nie miał w sercu silnego postanowienia dźwigania kraju z tej niedoli i upadku, widok tych ludzi sam natchnąłby go męstwem i wytrwałością. Ilekroć się ukazał Kaźmirz, z płaczem mu się do nóg cisnęli, witając go imieniem wybawiciela, które było na ustach wszystkich.

Małe zrazu obozowisko wkrótce rozrosło się znacznie, niemal wyrastając z ziemi. Mnożyli się przybysze coraz nowi. Namioty i szałaszy co dzień liczniejsze stawały, przybywały wozy, zapalały się coraz gęstsze ogniska. Ruch był i czynność wielka, każdy przybywał wycieńczony, ze stępioną i poszczerbioną bronią, ze zbroją poszarpaną, odarty, tak że oszczepy, dzidy, tarcze pogięte na nowo sposobić było potrzeba, miecze odostrzać, topory kuć, odzież popsowaną łątać. Lecz ktokolwiek co miał, a od grabieży uchwował, dzielił się tym, składał na ofiarę ochoczo. Niepokój nie dawał spoczynku, sposobili się jedni, drudzy szli lub wysyłali na zwiady ku Wiśle i Mazowszu, dowiadując się, co się z Masławem działo.

W otoczeniu króla zdania były podzielone, nie godzili się na jedno wszyscy.

Część rycerstwa polskiego i cesarscy byli za tym, ażeby nie dając Masławowi wzbić się w siłę i ściągnąć sprzymierzonych Prusaków i Pomorców, natychmiast napaść na niego. Kaźmirz, starszyzna, Topor, Trepka i innych wielu mówili, że gdy szło o bitwę walną, co o losach królestwa stanowić miała, lepiej było ważyć dobrze, czekać pory i siły wszelkie gromadzić. Dawniej już wysłano z tym do Kijowa na Ruś i stamtąd się odpowiedzi rychło spodziewano.

Stary bartnik znowu wyruszyć miał, choć SpYTEK nie bardzo był rad temu.

Ruchawemu człeczynie to włóczenie się, podpatrywanie, podsłuchy a coraz nowe przygody więcej smakowały niż zamknięcie między czterema ścianami. Znając Płock i niedawno go zwiedziwszy, był pewien, że w żebraczym odzieniu wśliznie się tam niepostrzeżony. Gdy rozkaz do pochodu odebrał, przestroił się w łachmany do tej podróży, garnuszek na sznurku u pasa uwiesił, kij wziął do ręki, stare łapcie na nogi, sakwę na plecy, tak nową przybrał postać, iż poznać go trudno było.

Zaledwie on znikł, znanymi sobie drożynami w las się puściwszy, gdy w obozie zjawił się zbiegły z płockiej niewoli ziemianin Nosala, który ledwie z duszą uszedł z jamy. Natychmiast zaprowadzono go przed króla, przed którym opowiadał, iż cudem życie ocalił, posadzano go bowiem o zakopanie skarbów i męczono, by miejsce ukazał. Tak z dnia na dzień zwlekano śmierć, aż wreszcie udało mu się nocą wykopać z więzienia. Nosala mówił, że Masław w szalonym gniewie do Płocka powrócił, natychmiast rozsyłając ludzi do kunigasów pruskich i na Pomorze o posiłki, że gromadził całe wojsko swoje, mając zamiar napaść na króla, nimby więcej Niemców przyciągnęło. Upewniał on, że to, co Masław miał z sobą na Olszowym Uroczysku, było tylko częścią zaledwie znacznych wojsk jego. Główne pułki stały pod Płockiem, a oprócz Prusaków i Pomorców, Mazurów jeszcze oczekiwano z lasów.

Znekany niewolą, wylękły Nosala, gdy się potem w obozie rozglądać począł i rozliczać, odradzał z tak małą garścią porywać się na silniejsze daleko zastępy Mazura. Pomimo lepszej zbroi i większego

ładu szaleństwem zwał, by się mierzyć chciano z tłumami, którym zacięty, wytrwały i żelaznej woli człek dowodzi.

Pozostała mu trwoga imienia Masławowego, tak że ilekroć go wspomniano, za głowę się chwytał i oczyma rzucał dokoła, jakby się go lękał ujrzeć przed sobą. Król i starszyzna znalazła w Nosali poparcie, młodzież się z niego wyśmiewała, tchórzem go zwąc, na co biedny nawet nie odpowiadał.

Bacniejsi z rycerstwa wysyłali jednak na zwiady, postawili czaty w okolicy, dzień i noc czuwali około obozu. Masław na wszystko się mógł ważyć, nawet na porwanie króla. Grodzisko też, na którym się teraz znajdował, starano się obronnym uczynić. Ludzi podostatkiem było, więc pospólstwu, które dziś stało się ciężarem i zawadą, ustąpić kazano i rozejść się po dawnych sadybach. Cizba ta o brzasku dnia, pocichu, w milczeniu groźnym, wysunęła się z Horodyszczu i w lasach ukryła.

Miejsce jej zajęło rycerstwo przedniejsze, otaczające Kaźmirza, dwór i służba pańska. Zburzone szopy podniesiono znów, kładąc je dla koni i ludzi. Dzień i noc pracowano na zamku, poruszano się w obozie, szli i przychodzili posłańcy, gromadzili się zbiegi i tułacze z ziem różnych. Od świtu do nocy Kaźmirza drzwi stać musiały dla nich otworem, bo każdy widzieć go chciał, pokłonić mu się, zabołec przed nim i poskarżyć.

Pod bokiem króla pomieszczono ciężej rannych w bitwie, których liczba była znaczna, lecz ci, zaledwie się zablizniły rany, powracali pod namioty. Pomiedzy okaleczonymi i Wszebor się znajdował, któremu cięcie w kark przez Masława do kości rozplatało szyję. Kawałkowi żelaza przyczepionemu do hełmu z tyłu winien był Doliwa, iż głowę uniósł całą. Rana głęboka, a niecierpliwość wielka nieprędkie obiecywały uleczenie. Na dole, w kilku komorach drugiego podwórza, leżeli wszyscy razem porąbani, tę mając pociechę, że się im z wyżek niewieście głosy słyszeć dawały, a niekiedy i postać ukazała. Dla starego Spytka zrazu też innego miejsca nie znaleziono, i on z rannymi razem się położył.

Wszebor, w pobliżu się pomieściwszy, rachował na to, iż co dzień

przybywającą do męża żonę i córkę będzie mógł widywać, a staremu się zalecać.

Choć czas nie był po temu, nad głowami srogie niebezpieczeństwo zawsze jeszcze wisiało, a Doliwa i o własnym zdrowiu, z powodu jątrzącej się rany, niewiele mógł

tuszyć, przecie gorącego serca wojak, ilekroć się ukazały niewiasty, podnosił głowę, w dziewczę się zapatrywał, do matki uśmiechał i zalecał, jakby w gościnie u spokojnego ogniska. Ojca sobie skarbiąc łaski, posługiwał mu chętnie, lecz tu przystęp, zbliżenie się, spoufalenie trudnym było. Ze Spytka mało kto słowo wyciągnąć potrafił, a za serce go ująć chyba nikt. Za lepszych czasów ludzie go już zwali jeżem, cóż dopiero teraz, gdy go rany, choroba, straty i niepewna przyszłość nękały.

Wszebor, także krwi nieostygłej, dawno by był ze starym jeść się zaczął i wyzwiał go na język, ale dla dziewczęcia miłego znosił dziwactwa, dąsy i łajania nawet. Nawykły do panowania w domu władcyka, tu na łasce ludzi zrównany z innymi, Spytka po dniach całych warczał i burzył się wszystkiemu nierad, narzekając i ganiąc wszystko. Przynoszone mu wiadomości wszystkie były nie

po jego myśli.

Jednego dnia narzekał, że się zbyt spieszono, drugiego łajał, że się brano leniwo.

Martę i córkę pędzał tak, że same nie wiedziały, co z nim i z sobą poczynać miały.

Gdy doń przyszły, gniewał się, że darmo się włóczyły, kazał pilnować kądzieli, przypisywał krzatanie się ciekawości niewieściej, zalotności niegodziwej; gdy potem długo ich nie było, też narzekał, że o nim starym zapomniały, a wołały się gzić gdzie indziej.

Dla pięknych oczu Kasi byłoby mu i z Wszeborem wygodnie, i u Belinów jak w domu, gdyby jeżem umiał być przestać. Tomko, który się rozmiłował w dziewczynie, ojca by na rękach nosił, a rodzice jego, widząc to, zjednać go sobie pragnęli. Ale przystępu doń nie było. Przysposobiono mu izbę osobną, aby go od Wszebora odciągnąć; nie przyjął jej, nie chcąc za nią być wdzięcznym. Nikomu z nim, jemu z nikim dobrze nie było. Starego wojaka, męznego rycerza, szanowano, choć kasał.

Ponad głową jego, czując się współzawodnikami, Wszebor i Tomko patrzali na się takimi oczyma, jakby się pozjadać chcieli. Mszczuj teraz, pokochawszy Zdane, a coraz pewniejszym będąc, że i ona mile nań patrzy, odstąpił nieco od brata, a do Belinów się zbliżył.

Gdy w obozie wszystko było wojną i przysposabianiem się do niej zajęte, na Horodyszczu około młodego króla powoli zadziergała się ta sieć zabiegów o łaskę pańską, o ucho, o przewagę w rodzie, która każdą siłę otacza. Ci, co dali dawniej dowody wierności Kaźmirzowi, dziś upominali się o swe prawa i zaufanie; winni cisnęli się o przebłaganie, przebaczenie, usprawiedliwiając grzechy dawne. Patrzano w oczy nowemu panu, usiłowano go odgadnąć; nikt się tym pochwalić nie mógł.

Milczący, zamknięty w sobie był król młody, o przeszłości mówić nie lubił, chciał o niej zapomnieć, dla wszystkich równie przystępny, nikomu serca nie otwierał.

Obyczaj niemal zachowywał zakonny, obchodził się małym.

Przed bitwą Topor i ci, co mu towarzyszyli z Leodium, wątpili zrazu, azali się w nim wojenny duch obudzi. Zawiedli się na tym. W pierwszej chwili rozpoczęcia walki Kaźmirz stał jakby nie rozbudzony, zdumiony, niepewien co pocnie. Gdy się rycerstwo puściło, zachrzęszczały zbroje, miecze zabłyśły, zwały pierwsze szeregi, rumieniec wystąpił mu na twarz bladą, zapłonęło oko, dobył z pochw Bolesławowski miecz i już powstrzymać go nie było można. Grzegorz i starszyzna własnymi pierściami zasłaniać go musieli, tak nieopatrznie narażał się na niebezpieczeństwo. Z tej bitwy wyszedł rycerzem odebrawszy w niej chrzest krwi i zwycięstwa. Od tej godziny poznać go było trudno, tak rycerz i wojak zatarł w nic dawnego mnicha. Patrzano nań z poszanowaniem, ciekawością, trwogą, bo nikt nie znał bliżej tego pana, nawet ci, co z nim za młodu bywali, jak Toporczyk, co się zwał

przyjacielem i w każdej godzinie przystęp miał doń wolny. Kilka lat wygnania i zamknięcia w murach zmieniły młodą naturę. Cisnęli się wszyscy tym bardziej, iż odgadnąć go pragnęli. Znalazł się już w nim rycerz, szukano teraz króla.

Starszyzna tymczasem za niego myślała i troszczyła się.

Chociaż cesarz Henryk w pomoc przyszedł Kaźmirzowi, a poczet zbrojny, jaki mu dał, był pierwszym zarodkiem przyszłej siły, która się około niego zgromadzić miała, choć Niemcy walczyli dzielnie obok rycerstwa polskiego w pierwszej bitwie, zawczasu szeptano sobie, jak by się zbyć można opieki cesarskiej i pobratymstwa z Niemcami. Nie chciano drugiej Ryksy na tronie ani Ody. W poufnych rozmowach, choć Masław stał z groźnymi sprzymierzeńcami swymi nad Wisłą, choć dachu nie miał król nad głową, już myślano o jego przyszłości, żeniono młodego pana, szukano dlań sojuszów, odbudowywano Kraków, Poznań i Gniezno.

Topor chciał co rychlej szukać mu towarzyszkę, aby być pewniejszym, że kraju nie opuści, a wymagał od niej wiele posagu, który by skarb pusty zasilil, wdzięków, by Kaźmirzowi dała szczęście domowe, i silnego sprzymierzeńca w jej rodzie.

Wtórowali mu drudzy, wymyślając najdziwniejsze dziewosłęby .

— Byle tylko nie Niemka była — odzywali się niektórzy — i nie żadna wnuczka ani powinowata cesarska, abyśmy w jarzmo Niemców nie poszli. Jeszcze dwie Ody pamiętamy...

— Aby też nie Czeszka była! — dodawał Lasota, którego Czesi porąbali.

Bracia ci siedli nam kością w gardle. Korzystając z nieszczęścia naszego, złupili nas po zbójceku, bez miłosierdzia. Gniezna, Poznania i Gdecza im nie zapomniemy.

— To niechby krasną polską dziewczkę wziął — rzekł inny — po co mu

królewny? Którą przy sobie posadzi, choćby chłopką była, królową się stanie.

— To nie dosyć — sprzeciwiał się Topor — nam i posagu trzeba, i przymierza z nią dostać. Zbyliśmy się wszelkiego mienia, a co za Bolesława srebra było jak lodu, dziś i żelaza zabrakło.

— To już nigdzie dlań po żonę, tylko na Rusi — rzekł Trepka. Tam ci są dostatki wielkie, a jak do kijowskich księżąt rękę wyciągniemy, nie odepchną jej.

Stamtąd mu dziewczkę wziąć!

— A czemu by nie! — wtórzyli drudzy. — Jeśli prawda, że nam na Masława pomoc dadzą, łatwo stąd przyjdziemy i do żony! Po Włodzimierzu Wielkim, panu, córki zostały i skarby zostały, i pamięć bohaterska. Niemców mieliśmy dosyć.

Czechów mamy aż nadto. Z Rusi Bolesław skarby przywoził i dziewczek tam krasnych siła. Jedną nam mogą dać.

Tak urosła pierwsza myśl swatów, gdy Kaźmirz jeszcze o żonie ani o stadle nie myślał, a losy się ważyły niepewnie między nim a Masławem. Mówiono o tym wszędy, na dole i na wyżkach, a gdy się Marta Spytkowa dowiedziała, nosiła się i cieszyła Rusinką. bo na jej dworze pierwszą się być spodziewała. SpYTEK zaś, zasłyszawszy, głową trząsał.

— Mnie no spytajcie, co Rusinka — mówił. Krasie nikt nie przygani, ano, na łańcuchu ją trzymać, a usta na kłódkę zamykać trzeba.

Uśmiechano się z tego, i zgryźliwy stary Rusinkom nie popsuł sławy; tylko Marta, gdy jej to powtórzono, srodze się łzami zalewała.

Dla króla te rady tajemnicą zostawały, wojennymi się tylko sprawy zajmował.

Czekano na Sobka, aby potwierdził co przyniósł Nosala, albo pociesniejszą wieścią dał otuchę. W kilka dni zjawił się bartnik stary. Było to pod wieczór gdy król z grafem Hebertem, co dowodził cesarskimi, Toporczykiem i Trepką naradzał się właśnie, kiedy i jak na Masława iść mieli. U progu stał Grzegorz, który Belinę i Sobka oznajmił, bo chciano, aby z własnych ust jego król usłyszał, co przynosił.

Król mieścił się w wielkiej owej izbie na dole, nieco dogodniej przybranej dla niego. Zniesiono tu, co kto miał najlepszego, ale przepychu nie było. Tok tylko skórąmi zasłano, suknem pozawieszano ściany, błyszczą na nim trochę broni, a na stole naczynia srebrnego niewiele. Lecz leżało na nim to, co naówczas mało gdzie i po królewskich spotkało się dworcach; naprzeciw krzesła pańskiego spoczywały dwie w drzewo i pozłocisty mosiądz oprawne księgi. Na jednej z nich, otwartej, złoty krzyż karty pergaminowe przytrzymał.

Każmirz siedział, stojącymi panami otoczony dokoła, w większej części starcami, których siwe brody i włosy od czarnych jego pukłów młodzieńczych dziwnie odbijały. Toporczyk stał za krzesłem króla, Grzegorz z rękami na piersiach złożonymi drzwi i ognia razem pilnował. Na stróża progu był jakby stworzonym, bo mało kto z nim do walki ośmieliłby się wystąpić. Na grubych rękach i nogach, na szyi żylastej wiek i praca sznurami powięzwały muskuły, w spokojnej namarszczonej twarzy widać było niezachwianą wiarę w swą siłę.

Gdy Sobek w łachmanach żebraczych ukazał się z Beliną w progu, rozstąpili się im wszyscy w milczeniu. Bartnik padł do nóg królowi, aby uczcić majestat pański.

Nie czekając co powie, Topor spytał po cichu Belinę:

— Cóż przynosi?

Stary gospodarz niedobrze potrząsnął głową. Uciszyli się wszyscy, a Sobek na swój sposób, powoli, słowy urywanymi, głaszcząc się po głowie, opowiadanie zaczął.

I on potwierdził to, że Masław miał siły ogromne i że szalony a zapamiętały zewsząd je gromadził jeszcze, aby pomścić pierwszą klęskę. Bartnik widział wojska, które się pod Płockiem ścigały i stamtąd wyruszyć miały, aby rycerstwo Kaźmirzowe otoczyć, a nie wypuścić ani żywej nogi. Codziennie przybywały posiłki nowe, których Sobek zliczyć nie umiał i powtarzał tylko, że było ich jak mrowia, a obóz nad Wisłą pięć i sześć razy większy mu się zdał niż królewski.

Otoczający Kaźmirza, obawiając się wrażenia, jakie ta powieść uczynić mogła, usiłowali odwieść bartnika od przesadzonego liku; a stary, potrząsając głową, trwał

przy swoim uparciu i jedno ciągle powtarzał, iż się mierzyć z Masławem nie było można.

Król milczał; z twarzy jego spokojnej poznać nikt nie mógł, jakie to na nim uczyniło wrażenie. Słuchał, nie zmrużywszy oka, nie poruszywszy się nawet, na księdze trzymając rękę.

Gdy bartnika, rozpytawszy, odprawiono, Kaźmirz odezwał się do

otaczających:

— Mamyż się mnogości ulęknąć, jakbyśmy sprawie naszej nie wierzyli?

Za krzyż i wiarę walczymy!

Topor i inni skłonili głowy; jeden tylko odezwał się wzdychając:

— Pospieszać nam potrzeba było, nim się ta czerń zebrała!

— I bylibyśmy to uczynili, dodał król, gdybyśmy na posły i posiłki z Rusi nie oczekiwali. Lada dzień się ich spodziewamy; gdy te przybędą, a odpowiedź przyjdzie pomyślna, ociągać się nie będziemy. Miecz niech rozstrzyga w imię boże!

Nie odezwał się już nikt więcej; męstwo i spokój króla przeszły w nich wszystkich. Nabrano otuchy. Przypomnieli ci, co walczyli w dolinie, jakie tłumy otaczały Masława i w pierwszym starciu pierzchnęły.

Królewskie słowo było jakby prorocstwem dobrej wieści. Nazajutrz, z rana, nadbiegł przodem wysłany goniec, oznajmujący o powracających posłach z Kijowa, z którymi jechali bojarowie, wiozący dobre słowo kniazia i obietnicę rychłej pomocy.

Radość w obozie stała się wielka, której tylko Spytek, na przekór drugim, nie podzielał. Sobek, wierny sługa, tyle o potędze Masława narozpowiadał, że stary królewskie siły miał za zgubione, jeżeliby się ścierać z nimi chciały.

Trzeciego dnia nadjechali oznajmieni posłowie, bojarowie kniaziowscy, z drużyny jego starosta Torczyn, siłacz Paramon i ogniszczanin Dobryń, z małym, ale pokaźnym poczem, z którym się szczęśliwie, mimo Masławowych oddziałów po kraju rozpierzchniętych, dostali do króla. Niżeli przybyli, gotowano się na ich przyjęcie; troskał się niepomiernie Grzegorz, aby ubóstwo pańskie w oczach obcych ludzi krzywdy mu nie uczyniło. Za jego staraniem przystrojono wspaniałej izbę królewską, aby się im od grydnicy kijowskiej nie wydała biedniejszą, zebrano się na stołową zastawę, aby jak niegdy Włodzimierzowi drużyna jego, nie wyrzucali po słowie królowi, że im drewnianymi łyżkami jeść kaze. Król też wdział dnia tego suknie i kozuch bogatszy, łańcuch na szyję, najpiękniejszy miecz do pasa.

Przed południem ujrzano wśród gromadki konnych owych posłów z Kijowa, na których czele jechał starosta Torczyn, mąż średniego wieku, barczysty, choć niezbyt wyrosły, oczy piwnych, biegających żywo, oblicza wesołego. Wszyscy mieli na sobie suknie długie, kozuchy bogate, czapki wysokie, oręż w pozłocistych pochwach i u pasów worki a chusty jedwabne. Paramon i Dobryń jak starosta

wyglądali poważnie zarazem i dobrodusznie, choć w twarzach ich ukrytą przebiegłość widać było. Bili tedy pokłony królowi, od kniazia Jarosław przynosząc pozdrowienie i posiłki zwiastując, a Torczyn zachwalał mężów swych jako bohaterów i siłaczy, którzy świat cały podbić byli gotowi. Ze słów jego za obrów ich i czarnoksiężników wziąć było można.

Król, w niewielu podziękowawszy słowach, powierzył posłów starszyźnie, by ich ugościła. Przyjęcie już przygotowanym było obfite i zastawne wspaniale, choć się na ten przepych całym obozem składano. A że pod namiotami niewygodnie ich ugaszczać było, musiały niewiasty na ten dzień ustąpić z góry, gdzie już stół

zawczasu przybrano. Topor, Trepka, starszyzna cała zasiedli razem z gośćmi, którzy wśród poważnego rycerstwa pochmurnych twarzy wesołością swą się odznaczyli.

Torczyn, najstarszy, trochę ją na wodzy trzymał, Paramon mówił niewiele, Dobryń za poselstwo całe uśmiechu miał usta pełne i dobrej był myśli. Poczęto zapraszać, częstować i kubki nalewać, które i Torczynowi staroście, i Paramonowi do dały ochoty; wzięła się rozmowa żywa, jakiej tu dawno nie słyszano, a pod koniec nawet ścisnąć się i całować potrzeba stała wielka, bo się wszyscy z sobą niezmiernie drużyli.

— Wy bo coś frasobliwie patrzycie — mówił Dobryń — a tu trzeba wesoło iść na wroga, to się sobie serca doda, a jemu odbierze. Było złe, będzie dobre — ciągnął

wesoły ogniszczanin. — Niech no nasi mołojcy nadciągną, zobaczycie! Góry przez siebie przerzucają, a sosnami się podpierają; nie ujdzie noga z tych ludzi i śladu po nich nie zostanie!

— Pomóżecie wy nam teraz — rzekł Trepka — nie daj Boże potrzeby,

pójdziemy i my dla was i kniazia waszego przelewać krew naszą.

Pili więc za swe zdrowie i ściskali się, a całowali znowu, gdy z komory bocznej, nie mogąc wytrzymać dłużej, wysunęła się strojna Spytkowa, by ziomków powitać. Na widok krasnej niewiasty aż im się oczy śmiać zaczęły, a dopieroż zakrzyknęli z radości, gdy ją po rusku mówiącą usłyszeli. Spytkowa pytała o swoich, lecz kijowianie bodaj o połoczanach mało wiedzieli, żaden się do znajomości rodu nie przyznał, choć wszyscy w piękne jej oczy patrzali radzi i chętnie by byli wieścią się dobrą przysłużyli. Spytkowej się usta nie zamykały.

— To was tu Pan Bóg do nas przyniósł — mówiła kłaniając się, jak należało niewieście przed poważnymi mężami. — Mówią, że królowi naszemu posiłki kniaz przysyła. Niech mu za to Bóg płaci! A jeszcze by jedno kniaz wasz uczynić dla króla powinien, aby na wieki się braterstwo zawiązało...

To mówiąc, dziwnie uśmiechnęła się Spytkowa, tajemniczo nie kończąc mowy.

— Ano co, piękna pani? ozwał się Dobryń. — Albo nie było poczynać, lub trzeba już dokończyć.

— Co takiego, co? — ciągnęła powoli Marta, oczyma rzucając ze starosty na tiwuna, a z tego na ogniszczanina. — Albo to wy, rozumni ludzie, drużyna pańska, nie domyślicie się, co takiemu

młodemu panu potrzeba, aby był szczęśliwy?

Dobryń, dłonią się zasłoniwszy i głowę w ramiona wciągnąwszy, śmiać się począł.

— A, chytra krasawica! — zawołał. — Pańską swachą ci się zachciało być?

Śmieli się wszyscy, nawet tiwun Paramon, najpoważniejszy ze wszystkich, pokraśniał i zachichotał.

— A cóż, nie? — ozwała się Spytkowa.

— I dobrzeście trafili — mówił Dobryń wesoło — bo nigdzie piękniejszych dziewcząt nie ma jak u nas w Kijowie, a co źli ludzie prawią, że wiedźmy są wszystkie, fałsz to wierutny! Ej ej! Co za dziewczęta! Na wagę złota je sprzedawać i tak by było niedrogo, a druhowi i darmo dać, my nie od tego!

— U kniazia też znajdzie się pewnie — wtrąciła Spytkowa.

— Nieboszczyka kniazia córka, Włodzimierza, właśnie dla waszego króla para

— mówił Dobryń. — Daj Boże w dobry czas powiedzieć dobre słowo!

Spojrzeli po sobie polscy ziemianie.

— Jak na imię kniaziównie? — spytał Trepka.

— I imię piękne, i dziewczka śliczna — mówił Dobryń. — Dobrogniewą ją nazwano, bo choć się zagniewa, dobrą jest. Śnieg nie może być bielszy od jej twarzy ani malinowy sok różowszy od jej rumieńca. Gdy złote puści kosy, to się po ziemi wloką, gdy niebieskimi spojrzysz oczyma, ludzie o smutkach zapominają, gdy się uśmiechnie, pogoda na niebie wstaje. Gdy z eremu wychodzi krasawica, ptacy się do niej zlatują z nieba, a gołębie siadają jej na ramionach, gdy pieśń zanuci, lwy się u nóg jej kładną, a złotem i jedwabiem gdy ręcznik wyszyje, tylko go na ołtarz dać można.

— Dajcież nam ją, dajcie na królowę! — zawołała Spytkowa.

I śmiejąc się, w kubki potraćano, a starsi panowie, milcząc, głowami potrząsali. Długo w noc gwarzono i biesiadowano.

W kilka dni później, z wieczora, od króla wyszedłszy, graf Hebert i starszyzna do obozu pospieszali milczący. W namiotach zbierało się rycerstwo. Rozeszła się wieść błyskawicą po dolinie, że nazajutrz wojska wyruszyć miały ku Wiśle, nie czekając Masława, a same go chcąc uprzedzić. Taka była wola królewska. Na dzień naznaczony i posiłki od Kijowa z drugiej strony na łodziach nadciągnąć miały.

Zaledwie słowo to wyrzeczono, co żyło na Horodyszczu, w namiotach, na dolinie, poruszyło się i drgnęło. Wszystkim czekanie długim było i tęsknym, a walka pożądaną. Nie cieszyli się tylko nią ci, co do niej należeć nie mieli. Na Horodyszczu załogę, choć niewielką, zostawić było potrzeba, aby go nie ogołocić zupełnie.

Niektórzy ciężko ranni ruszyć się też nie mogli. Belina na swych śmieciakach stać musiał. Spytek, kaleka, nie zdałby się do walki.

Wszeborowi szyja zaledwie się zablizniać zaczęła, a gorąca krew zostać się mu nie dawała. Chciał iść i chciałby być zostać, bo Tomkowi, ojcu w pomoc dodanemu, na Horodyszczu przy pięknym dziewczęciu kazano siedzieć. Tomko mógł korzystać z czasu i ubiec go u ojca. Co miał począć, nie wiedział Doliwa, powstawszy z ławy, ręce łamał i z głową spuszczoną chodził długo, nim mu na myśl przyszło, matki się poradzić. Ku wyżkom się więc skierował, jednej z dziewcząt służebnych uprosiwszy, by wywołała Spytkową.

Trochę przelękała wybiegła zaraz Marta. Ciemno już na wyżkach było, poznała jednak po głosie Wszebora.

— Co wam jest, zawołała, i co najlepszego czynicie? O tej porze na rozmowę zwać, nuż kto podpatrzy, co pomyślą ludzie?

Wszebor do kolan jej się chylił i ręce całował.

— Dobra pani — rzekł, radźcie mi jak matka, radźcie i jak królowa. — Jutro na wojnę idziemy. Mamli iść, a was tu, zostawić z Tomkiem, aby Kasię zaswatał?

Gdy ją stracę, świat i życie mi niemiłe!

— Cóż począć? Chcecie iść? — spytała Marta.

— Dla króla muszę, muszę dla siebie sam; rana tak jak zgojona, zostać mi się nie godzi.

Pomyślała nieco Marta i w ręce z lekka uderzyła.

— Macie łaski u pana? — rzekła. — Czemu jego w swaty nie poprosicie?

Spytek go się lęka, bo ma coś na sumieniu przeciw niemu. Gdy go król poprosi, nie odmówi.

Słyszac to, Wszebor do nóg upadł Spytkowej, a nim na nowo mówić zaczęła, pędem z wyżek się stoczył. Ze starym Grzegorzem dawną miał i dobrą znajomość; znał go sługa pański jako wiernego królowi. Ku niemu wprost popędził Doliwa; chwili nie było do stracenia. Grzegorz zbroje do podróży opatrywał i czyścił, a że pora późna była, zdziwił się odwiedzinom.

— Do Pana Miłościwego mi potrzeba — odezwał się — przypadając doń, Wszebor.

— Ciemna noc! Jutro rano w pochód idziemy, nie pora! — rzekł, głową potrząsając, stary.

— Ja go dziś jeszcze widzieć muszę! — odezwał się Doliwa. — Zlitujcie się wy nade mną! Nie wezmę czasu długo, byłem mu do nóg mógł paść i dwa słowa rzec!

Nic nie mówiac, ręką dał znać Grzegorz, aby czekał, a sam wszedł do izby.

Nie trwało długo, drzwi się otworzyły i Wszeborowi dał znak stróż wierny do wnijsia.

Król sam jeden był, stał u ogniska dogasającego, od którego się ku przychodzącemu odwrócił.

Doliwa, który ani zmilczeć, ni ścierpieć, ni wyczekać nie umiał, przystąpiwszy do króla, padł u nóg jego i, ranę obnażając przed nim, zawołał, ręce złożywszy:

— Miłościwy Panie! Walczyłem za Ciebie i walczyć będę do śmierci, bądź mi Ty dobroczyńcą, o łaskę Twą proszę!

Król mu dał znak, ażeby podniósł się z ziemi.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał łagodnie. — Mów!

Wszebor, powstawszy, ręce łamał, ze zbytniego wzruszenia mówić nie mogąc.

— Wstyd mi w tej chwili — rzekł wreście, o taką prosić łaskę Ciebie, Miłościwy Panie, który o czym innym myśleć musisz; przebacz młodości mojej!

schylił się znowu.

— Mów, czego chcesz? — powtórzył Kaźmirz.

— A — dodał Doliwa półgłosem — swatem mi musisz być, Miłościwy Panie!

Kaźmirz się cofnął zarumieniony. Widać było, że wcale czego innego się spodziewał.

— Nam nie o weselu myśleć! — rzekł smutnie. — I nierychło będzie gdzie je wyprawiać.

— Ja też teraz wesela nie żądam, tylko słowa ojca i matki — mówił Wszebor, całując natarczywie rękę króla. — Spytkową córkę chcę mieć! — Miłościwy Panie, rozmiłowałem się na śmierć w tej dziewczynie.

Król słuchał z oczyma spuszczoneymi i niemal kobiecym wstydem.

— Dwu nas jest braci — mówił gorąco Wszebor. — Rodziców nie mamy, tyś naszym opiekunem i ojcem! Spytek stary czuje, że przeciw Waszej Miłości zawinił

dawniej, rad by uzyskać przebaczenie; gdy mu słowo rzec raczycie, da mi córkę.

I znowu do kolan się schylił, a król łagodnie go od siebie odsunął, nie mówiąc nic.

— Gdy wrócimy z wojny, chętnie — odezwał się wreście. — Teraz nie pora o tym myśleć!

— A potem nie pora będzie już, bo kto inny ją zaswata — przerwał Wszebor.

— Królu Panie, dziś lub jutro, albo nigdy!

Zafrasowany stał Kaźmirz jeszcze, gdy Trepka stary, który na jutro

potrzebował rozkazów do ciągnięcia, wszedł do izby. Król go ku sobie powołał, jakby mu ciężar spadł z piersi.

— Stary mój przyjacielu — rzekł do Trepki — wy mnie w tym zastąpicie i w moim imieniu wstawicie się za dobrym sługą, któremu bym rad zawdzięczyć serce jego dla mnie.

Nie rozumiał jeszcze Trepka, o co szło, i patrzył zdumiony, gdy mu Wszebor prędkimi słowy wytłumaczył prośbę swoją.

Starzec się namarszczył trochę.

— E, wy młodzi! — zawołał. — Prawda, bijecie się dobrze, ale płochu u was w głowie. Gdy kraj ratować trzeba, wam dziewczęta na myśli.

— Ano mi ją weźmie inny! — wtrącił Wszebor. — A ja bez niej żyć nie mogę.

Ruszył ramionami stary.

— Któż ci ma wziąć ten skarb? — zapytał. — Tomko Belina koło niej biega.

On tu zostanie z nią i rodzicami, a mnie nie będzie!

— Tomko? Idzie z nami! — odparł Trepka. — Widzicie, że dla dziewczęcia królewskiej i naszej sprawy nie rzuca.

Zawstydził się nieco Wszebor.

— Wszelako proszę — dodał — choćby z nami szedł, wolę mieć słowo rodziców; ochoczo potem na wojnę pociągnę.

Kaźmirz stał, nie odzywając się, Trepka nań popatrzył.

— Jestli to wolą Waszą, Miłościwy Panie? — spytał.

— Uczyńcie mu to, aby miał serce spokojne — dodał król smutno. — Nie odkładajcie!

Wszebor starego za rękę pochwycił.

— Panie a ojczyste... chodźmy!

Rozśmiał się prawie miłosiernie Trepka, i widząc rozgorączkowanie,

skłoniwszy się królowi, skierował się ku drzwiom z Wszeborem.

— Ano — mruknął w progu — nawet ręczników nie mamy.

Wyszli w drugie podwórze.

Stary Spytek zajmował zawsze to miejsce, jakie sobie obrał w początku, pomiędzy kalekami i chorymi. Wysłane miał tylko staranniej łoże i gałęzmi jodłowymi osławione; spoczywał już na nim, choć nie spał jeszcze, a wierny Sobek klęczał u nóg jego. Reszta rannych albo już chrapała, lub do obozu poszła żegnać się z odchodzącymi nazajutrz towarzyszami.

Postrzegłszy nadchodzącego Trepkę, któremu był winien pielęgnowanie w chorobie, Spytek się podniósł na łokciu.

— Cóż to, już ciągniecie? Żegnać się chcecie?

Jeszcze nie z pożegnaniem przyszedłem, ozwał się stary, stając nad nim i oglądając się na Wszebora, który się przybliżył. Przychodzę do was w poselstwie od króla.

Ruszył się Spytek niespokojnie i podniósł oko zakrwawione.

— Od króla do mnie? A cóż Miłościwy Pan może żądać od starego kaleki?

— Żąda, abyście mu dali dowód dobrej woli dla niego — mówił Trepka. Nie ma czym Pan Miłościwy nagradzać rycerstwa swego, chce, abyście za niego dług zapłacili.

Nie rozumiejąc, Spytek usta otworzył szeroko, a czoło mu się namarszczyło.

— Nie drwijcie ze starego kaleki! — zawołał.

— Nie pora na żarty — mówił Trepka. — Oto stoi przed wami ten, któremu królewski dług zapłacić macie, Wszebor Doliwa.

Domyśleć się musiał Spytek i namarszczył czoło groźnie; nierychło począł

ruszać ustami, a widać było, że gniewem się burzył.

— No, cóż mu mam dać? Sam nic nie mam! — zawołał.

— Macie córkę... prosi o nią król dla Wszebora.

Doliwa pochylił się milcząco do ręki starego, który mu ją usunął.

— Nie mam ja nic przeciw Doliwie — począł — choć Spytkowej córce,

jedynaczce, należałoby się więcej niż on. I kneź by przystał, ano, wola królewska niech się stanie. Będzie ją miał.

Doliwa dziękował milcząco, gdy stary ciągnął już dalej, coraz się

rozgrzewając.

— Powiedzcie królowi, że to czynię dla niego, bo chcę, aby mi wrócił serce, tylko dla niego to czynię... Rozumiecie!

— Zatem król ma słowo wasze? — zapytał Trepka.

Zamiast odpowiedzi, skinął Spytek na sługę.

— Niech tu przyjdzie Marta z córką.

Wszebor, który stał szczęśliwy nad miarę, spojrzawszy na starego, leżącego z głową podniesioną do góry i mierzącego go okiem pełnym złości stłumionej, poczuł

także w piersi zaród gniewu i dumy obrażonej. Nie czas było się waśnić, ścierpieć musiał.

Sobek pobiegł; Trepka i Doliwa milczeli; Spytek stękał tylko i wstrząsał się czasami, jakby wewnątrz walczyć musiał z sobą. Czekali tak, gdy chód dwóch niewiast posłyszeli i we drzwi weszła z promieniejącymi zwycięstwem oczyma Marta, ciągnąc bladą i wylekłą Kasię; ta, spostrzegłszy Doliwę, zachwiała się i rzuciła, jakby uciekać chciała, lecz matka ją za rękę trzymała silnie.

Ujrzawszy żonę, Spytek jeszcze się bardziej zachmurzył.

— Król, Pan nasz Miłościwy, sam swata córkę naszą — odezwał się. —

Królowi odmówić nie mogę.

Wskazał na stojącego Doliwę.

— To przysły twój mąż! — rzekł, patrząc na Kasię. — Taka jest wola królewska i moja. Gdy przyjdzie pora, sprawimy wesele.

Marta skłoniła głowę; na twarzy Kasi milczącej odmalowało się uczucie, w tak młodym dziewczęciu ledwie do wiary podobne. Zamiast łez i smutku lice jej zapłonęło gniewem, oczy groźbą, usta zacięte jakimś wyzywającym męstwem. Z

wolą ojca i pana jawnie naówczas żadna by się walczyć nie ośmieliła. Kasia też nie mogła się jej przeciwieć. Lecz Wszebor zrozumiał wejrzenie.

Spytek ani już spojrzął na córkę, a Marta, zbliżywszy się z nią do Wszebora, chciała, ażeby wedle starego obyczaju zrękowiny podaniem ręki i pocałunkiem się potwierdziły. Kasia stała w swym miejscu jak wkuta, nie dała się pociągnąć, wyrwała rękę i cofnęła krokiem.

Wszebor też nie chciał nastawać, obiecując sobie przemoc później ten srom dziewiczy; ucałował tylko rękę ojca i matki, dziękując.

Trepka się ruszył.

— Pójdę więc królowi dobrą zanieść nowinę — rzekł.

Głową mu skinął Spytek i natychmiast, nie zważając już ani na przytomność przyszłego zięcia, ani na córkę i żonę, opadł na posłanie, wołając na służbę:

— Sobek, obetknij mi nogi!

Oczy zasłonił i głowę zakrył.

Cichymi kroki wysunęła się stąd Marta, za którą szła Kasia blada, z groźnym zawsze oczów wyrazem. Gdy się znaleźli w podwórzu, a Doliwa chciał się śmieiej do dziewczęcia przybliżyć, nie bacząc na matkę, Kasia odskoczyła i biegiem, nie oglądając się, na wyżki poleciała.

— To dziecko! — uśmiechnęła się matka, podając Wszeborowi rękę. —

Młode ptaszę... co za dziw! Przyhołubisz je potem, gdy twoim będzie. Czasu mieć będziesz dosyć.

I cicho szeptać z nim zaczęła.

Na wyżkach słyhać było jakby wybuch płaczu, jęków i oburzenia. Drzwi się otwarły nagle, wybiegła z nich Zdana, mijając Martę, rzuciła na nią okiem gniewu pełnym i znikła.

Belina stary, Tomko, Hanna zeszli się naradzać na górę i szeptali długo.

Tomko z siostrą odeszli potem na stronę i mówili z sobą po cichu, a gdy Wszebor się wysunął, ściągnięto Mszczuja do narady. Kupka ta to się schodziła, to rozchodziła długo w noc, a gdy Mszczuj do brata na nocleg powrócił, nie odezwał się do niego słowa i jak stał, rzucił się spocząc, głowę okrywwszy.

Wszebor czuł w nim gniew i nie śmiał mu nawet swojego szczęścia

zwiastować.

Rozdział V.

Przyszła w tym roku wiosna, gdy się jej chyba jedne spodziewały skowronki, a ludzie w zimę jeszcze wierzyli, przyszła niespodziana jednej nocy ciemnej; lecąc z południa na ciepłych wiatru skrzydłach. Wczoraj jeszcze leżały śniegi białe i lśniły się od mrozu pod zeszkloną skorupą, na rzekach trzaskały lody, obłoki ciężkie, jak wory napchane śnieżnicą, ciągnęły sinymi szlaki od północy. Kury zapiwały niespokojnie, wiatr przypadł gdzieś do ziemi i usnął; była cisza. Wtem z dala zahuczało, zaszumiało coś, nadbiegał wichur z południa, wilgotny, zmęczony, gwałtowny; do rana już tajały śniegi czerniejąc, płynęła woda po lodów skorupie, ziemia odsłaniała się jak oblubienica ze śnieżnych rąbków, skowronek poleciał do góry, zjawił się bocian wychudły podróżą, a nawet niespokojna jaskółka.

Ci, co zasnęli w zimie, obudzili się przestraszeni strumykami, które mruczały, torując sobie wszędzie drogi, nurtując zawiane śnieżne kupy; ku południowi czerniały płaty ogromne, wieczorem lód tylko kruchy gdzieniegdzie się trzymał.

Zieleniejące trawy i zboża wyszły spod zimowego okrycia. W powietrzu czuć było wiosnę, ziemię woniejącą, nabrzmiące pączki, ciepły deszcz i parujące wody. Ponad brzegami rzek stały jeziora, na rzekach piętrzyły się nazajutrz pokruszone lody i uparte ścisnęły się, broniąc potędze ciepła i słońca. Ci, co wczoraj w odwilż, nie w wiosnę wierzyli, musieli przyjąć zwycięską. Bocian ją niósł na skrzydłach, skowronek śpiewał w obłokach, wierzba witała aksamitnymi pączkami, wilcze łyko kwiatki różowymi, niebo szatą lazuruową.

I stała się z dnia na dzień wiosna, nie ta spokojna i wonna, co później przychodzi goić rany, poszarpaną okrywać ziemię, zasiewać kwiaty i świecić słońkiem gorącym a polewać łzami ciepłymi, ale wiosna wojownicza, która ze starą zimą bierze się za bary i walczy, póki jej nie zwojuje. Wiatr gorący leciał górą w obłokach poszarpanych, grad sypał szklanymi grochy, huczało w niebiosach, szumiało na ziemi, pędziły rozhukane wody, szamotały się lody rozmiękłe, piaski zalewały pola, strumienie zrywały posiewy, burza łamała drzewa. Straszna to była wiosna, co wiosnę zieloną poprzedza; zwierz się krył, człowiek zamykał, ptastwo, zawcześni goście, mdlało od zimna i głodu.

Takiego wieczoru młodej wiosny, wśród burzy, co się mieniała z pogodą co chwila, nad Wisłą ostatnie słońca promienie ozłacały pobojuwisko. Jak spojrzeć, ponad wylanymi szeroko wodami, ludzi gromady i trupa wały nieruchome zalegały.

Na wzgórzu z jednej strony widać było obóz niemal pusty, u stóp jego na łące i polach walka długa zostawiła po sobie straszne piętna śmierci i zniszczenia. W dali, na lewo, kupy rozpięchłe uciekały z krzykiem i trwogą, konni rycerze gonili.

Gdzieniegdzie bój zawzięty trwał jeszcze. Za uchodzącym Masławem,

któremu hełm spadł z głowy, a czerwone włosy wiatr rozwiewał, gonił zajadle Wszebor. Czasem się odwracał zbiegający, koń mu ustawał, towarzysze go opuścili.

Zostało ich dwu tylko: pokonany Mazur i zwycięstwem zagrzany Doliwa. Lewą nogę z ostrogą wpił koniowi w brzuch i naglił go do biegu. Siwy ostatnich sił dobywał, coraz bliżej dosięgając uchodzącego. Mieli się zewrzeć w boju na śmierć lub życie, gdy z zarośli wypadła garść ludzi, co się tam za czaiła i w pomoc przyszła uchodzącemu Mazurowi.

Sam jeden znalazł się Wszebor naprzeciw kilkunastu.

Uciekający stanął, ścigający się zawahał, potrzeba było zmienić teraz kierunek; Masław pędził na niego ze swymi, korzystając z przewagi. Wszebor uchodzić musiał, pokraśniała mu twarz, zabłyśły oczy.

— Uciekać przed zwyciężonym, pobitym, przed zdrajcą? Uciekać, aby ocalić życie?

Obejrzał się dokoła, ze swoich nie widać było nikogo, pędzili będących w rozsypce, rozpięchli się

za nimi, był sam. Trzeba więc było albo dać życie, lub ocalić je sromotą!

— Przed Masławem uciekać...

Nie sam jeden, wściekły klęską, Mazur pędził ku niemu; niespodziany posiłek go otaczał, godzili całą kupą.

Wszebor miał złamaną dzidę w ręku, tarcza wisiała u boku pogięta, pancerz był pokłuty, siły całodziennym bojem się wyczerpały.

O kilkanaście kroków, zza urwiska, wychylił się Belina z kilką ludźmi i patrzył. Serce mu uderzyło zemstą. Masław miał teraz za niego ukarać Wszebora. Na to dosyć było, ażeby Tomko się cofnął i w pomoc mu nie spieszył. Doliwa padłby z rąk Mazurów, a narzeczona wolną została.

Błyskiem myśl czarna przebiegła mu po głowie i kolnęło go w serce: "Niech ginie ten, co ci ją chciał odebrać! Niech ginie"!

Wszebor się oglądał stając, azali mu los nie ześle posiłku. Zobaczył stojącego nieruchomie Tomka i rzekł w duchu: "Ten mnie raczej dobije, niż ocali".

Belina stał a czuł, jak mu się krew przelewała w żyłach burząc i kipiąc, i po głowie chodziło: "Niech ginie!"

Masław już z kupką swych ludzi natrzeć miał na Wszebora. Wtem z oczów Tomka czarna i krwawa spadła zasłona, stało się jasno w jego sercu, lepszym uczuciem pierś się zagrzała i rzucił się w pomoc ze swymi wołając:

— Za mną!

Mazury już otoczyli byli Doliwę i kłuli pod nim konia, nie mogąc jeszcze obraniającego się złomkiem dzidy dosięgnąć, gdy gromem i burzą padł na nich Tomko. Masław, który już godził w przeciwnika, sam pchnięty żelazem cofnął się, gromadka jego pierzchnęła natychmiast. Wszebor był ocalony, ranny z konia się zsunął na ziemię.

Działo się to na krańcu pobojowiska, w miejscu, gdzie jeszcze uchodzący Prusacy i Pomorcy pochwycić ich mogli i dobić, spieszenie stąd ku swoim gnać się było potrzeba.

Belina z konia zsiadł; z pomocą dwu zbrojnych, których miał ze sobą, Doliwę podniósłszy, znowu go na koń posadził. Milczał ocucony Wszebor, lecz oczyma wodził po swym zbawcy, jakby nie wierzył, że jego widział przy sobie. Belina nie rzekł doń słowa, wskazał ręką ku obozowi.

W tej chwili nadciągnęli inni, chcąc w pogoń iść za rozbitkami. Mszczuj spostrzegł bladego i okrwawionego brata. Dawno już nie mówili do siebie. Zobaczył

przy nim Tomka i strzymał się zdziwiony, oczyma go badając.

Belina mu nie odpowiedział.

— Gdzie król? Nie wiecie, gdzie król? — zaczęli pytać inni nadciągający.

— Gdzie pan nasz?

— Nie wiem! — odezwał się Belina. — Z początku biłem się u jego boku.

Rozdzielono nas później. Puścił się w gąszcz!

— Gdzie Masław?

— Masław zabity! — krzyczeli inni.

— Widział kto trupa?

— Żywy uszedł z małą garścią, nie było go ścigać komu! — odezwał się słabym głosem Wszebor. — Ostatni jeszcze ja z nim się ścinałem. — Hełm już postradał, krwią broczył.

— Dokąd uszedł?

Wskazał ręką. Puścili się w czwał z pogonią zapalczywsi.

— Gdzie król? — zakrzyczał inny nadbiegając. Co nam po zwycięstwie, jeśli go nie stanie!

— Gdzie król? — rozlegało się po całym poboju, przez które przejeżdżali.

Nikt nie umiał powiedzieć, co się z królem stało.

Słońce zachodziło tak krwawo, jakby w obłokach odbiło się to poboju, po którym też płynęła strumieniami krew i posoka czarna. Czerń obozowa, jak ptastwo żarłoczne, już się zaczynała zbiegać i odzierać trupy. Okrzyki zwycięskie i szyderskie słyszeć się dawały od strony obozu. Kiedy niekiedy przebiegał jeździec i pytał:

— Gdzie król? albo krzyczał: — Masław czy zabity?

Wszebor, podtrzymywany przez dwu żołnierzy, włókł się ku obozowi. Za nim jechał ze Mszczujem Belina, oba oczy spuściwszy w ziemię. Co im było po zwycięstwie, gdy król może je życiem przypłacił. Jechali, gdy Trepka stary i graf Hebert, i wojewoda ruski, Jełowit, nadciągnęli razem.

Konie ich stąpały powoli i oni ze zwieszonymi głowami, w ponurym

milczeniu, siedzieli na nich, miecze już pochowawszy do pochew, tarcze oddawszy pachołkom. Spoglądali na trupami zasłane poboju, nie śmieli mówić do siebie.

Z milczenia ich i oczów czytać było można, że króla szukali. Króla nie było...

— Bił się jak lew — mówił Jełowit. — Samem widział na oczy moje. Jak bohater siekł sam

nieprzyjaciół, a gdzie się pokazał, pierzchało przed nim wszystko.

— Ranny był! Krew mu płynęła z ręki — rzekł graf Hebert.

— Któż z nim? — zapytał Trepka. — Jak mogli go opuścić?

Wierna drużyna kroku od niego nie powinna była odstąpić!

Starzec załamał rękę.

Oglądali się dokoła. Mijali ich ranni i zsadzeni z koni.

— Nie widzieliście króla?

Wszyscy widzieli go w początku bitwy, gdy stojąc na wzgórzu, modlił się jeszcze, wprzód nim z pochew dobył miecza, gdy liczył oczyma trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela, pomorską dzicz w żelazo dobre zbrojną, Prusaków z pałkami do pocisków u pasa, Mazurów z tarczami ogromnymi i całą tę ciżbę straszną, wrzaskliwą, dziką, która, dokoła objąwszy wojska króla, w miazgę je zetrzeć się spodziewała; widziano go, gdy po modlitwie puścił się naprzeciw Masławowym i gonił za samym wodzem, którego łatwo było rozeznąć.

Ku końcowi bitwy, gdy zwycięstwo przechyliło się na stronę Polaków, Rusi i cesarskich posiłków, gdy na ostatku nawet twardo i uparcie stojący Prusacy uchodzić zaczęli, gdy się wszczęło zamieszanie okropne, a swoich od wrogów w nim trudno było rozeznąć, znikł król wszystkim z oczów. Nie wiedzieli, ani kto z nim był, ani w którą zapędził się stronę. Strwożone swą stratą rycerstwo całe rozbiegało się po krańcach pobojuwiska, inni szli, schylali się, podnosili leżące kupami na sobie trupy i z trwogą szukali choćby ciała. Łamali rękę ci, co młodego pana tu przywiedli, co go niechcący wydali na zgubę.

Wtem znad Wisły okrzyk się dał słyszeć, okrzyk jakby nowego zwycięstwa.

Z daleka widać było kupkę ludzi idącą powoli; Trepka i wszyscy rzucili się w tę stronę. Poznano wprędce wiernego Grzegorza, który szedł przodem, dźwigając nosze z gałęzi, na nich w krwawej opończy leżał ranny czy trup. Obok noszów szedł

ksiądz, który w obozie towarzyszył panu, a rano mszę o brzasku odprawiał.

Gdy się zbliżyli, ujrzeni króla. Cały był krwią oblany, ale oczy czarne miał otwarte i usta mu się na pół bólem krzywiły, pół szczęściem uśmiechały. Spojrzał na Trepkę i zawołał głosem słabym:

— Bogu niechaj będzie chwała! Zwycięstwo!

Domawiając tych wyrazów, omdlał król; postawiono na ziemi nosze, cucić go poczęto wodą, pokłękli przy nim wszyscy. Teraz dopiero spostrzeżono, iż za noszami ścieżka była krwawa. Kaźmirz leżał cały oblany i zboczony. Nie czas było nieść go do obozu i namiotu, na miejscu trzeba było rany pozawiazywać i krew zatamować.

Pobiegli jedni za płatami, za chlebem i hubami drudzy. Grzegorz, wszystkich odpędzając, sam z wolna odsłaniał pokaleczone ciało, zdejmował zbroję, rozpiął

suknie, ocierał czoło i z macierzyńską troskliwością chodził około wychowańca.

Z omdlenia wracając do siebie, Kaźmirz powiódł oczyma, uśmiechnął się i szepnął raz jeszcze:

— Przy nas zwycięstwo!

Na samym poboju opatrzone królewskie rany. Były one ciężkie, krwi drogiej upłynęło wiele, dla życia jednak niebezpieczeństwa nie było. Już noc nadchodziła i księżyc podnosił się nad lasami, gdy Grzegorz stanął do noszów i skierował się z nimi do obozu.

Król, którego orzeźwiono trochę wina podanego przez grafa Heberta, wodził

oczyma po poboju i cichym głosem pytał się o swoich.

— Miłościwy Panie — rzekł Trepka — jeszcześmy się nie obliczyli ani wiemy, kto z nas żywy, a kto padł; o wodza, o ciebie nam szło, znikłeś nam z oczów, a z tobą wszystko.

— Wodzem przestałem być — rzekł Kaźmirz, poczuwszy się żołnierzem. —

Nie wiedziałem sam, co się działo ze mną. To wiem tylko, że gdym ranny z zabitym padł koniem, twarz ujrzałem Grzegorza nad sobą i jego miecz, którym siekł dokoła, broniąc mnie; on na rękach swych wyniósł osłabłego spośród trupów i nieprzyjaciół, jemu winienem życie.

Grzegorz, który stał zasepiony nad panem, nie odwrócił odeń oczu, nie rzekł

nic. Trepka zdjął przed nim z głowy czapkę i podał mu rękę.

— Najwyższego dostojęstwa godzien, kto nam drogiego pana ocalił.

Dźwigający już znowu nosze Grzegorz nie odwrócił się nawet i słów tych może nie słyszał. Zbliżali się ku namiotowi; tu służba biegła naprzeciw, ręce załamując i krzycząc na widok noszów, ulękłszy się, czy nie zwłoki królewskie przyniesiono.

Radość była niezmierna, gdy o ocaleniu posłyszano. Zewsząd ściągali się do namiotów ci, co z pogoni powracali, co już za zabitych porzuceni na poboju wstali ożywszy, i ci, co szukali łupu.

Zapalały się ognie, rozlegało hukaniem i śpiewami. Nie było wątpliwości, iż klęska zadana Masławowi stanowczą dla króla była wygraną. Dopomogły do niej posiłki ruskie, które w porze nadciągnęły, sześćset cesarskich rycerzy i wszystka siła własna, na jaką się ziemie zebrać mogły. Walczono od poranka do nocy prawie, bo Masław, liczbą przemagający, nie dawał się pokonać łatwo. Prusacy i Pomorcy bili się mężnie. Mazury nie ustępowały kroku, kilkakroć ważyło się niepewne zwycięstwo i w ostatnim starciu dopiero, gdy sam król z najlepiej zbrojnym rycerstwem rzucił się na Masława, główne siły jego tył podały.

Do namiotu króla zbiegały zewsząd wieści, tu gromadziła się starszyzna na radę, znoszono łup, chorągwie i stanice, broń na polach poznajdowaną, oszczepy i miecze. Kupami zrzucano tu tę zdobycz lichą, nad którą stokroć większą była porażka tego, co całej wojny i wszystkich klęsk był przyczyną.

Niedaleko od królewskiego stał namiocik, w którym Wszebor z Toporczykiem i Kaniowa się mieścili. Tu zniesiono pokaleczonego i osłabłego Doliwę i położono dla spoczynku i jedni drugim opatrywali rany, niemal wesoło się krzątając koło nich, taką radością napępniało wszystkich zwycięstwo.

Wszebor tylko, choć się orzeźwił prędko i odszedł, siedział zasepiony wśród wesołej gromadki.

Służba roznosiła jadło, jakie było, i napój, którego dostać mogła. Znalazło się nawet wino u grafa Heberta.

— Co cię tam tak boli, żeś tak nosa zwiesił? — odezwał się Kaniowa, który był wesół zawsze, a szczególnie, gdy inni byli posępni, na przekór.

I trącił Wszebora w ramię.

— Ran i stłuczeń nie czuję — rzekł Doliwa — co innego mnie męczy.

— Natarła cię zbroja? — rzekł Kaniowa. — Dam ci tłuszczu, to się zagoi.

Wszebor padł na posłanie, ręce podkładając pod głowę.

— Co mi po twoim tłuszczu! — bąknął. — Inną sprawę mam na sercu.

— Ano toć wiemy! Kaśki ci się prędszej chce i wesela! Czekajże, niedługo i to będzie. Jużemy Masława zbili w miazgę, pokój nadejdzie, wszyscy się pożeniemy!

I jam gotowy.

— Co ty tam mielesz nie do rzeczy! — ofuknął Doliwa. — Wiesz ty, kto mnie ratował, wiesz? — Masław by się teraz krwią moją cieszył, gdyby nie...

— Belina cię odciął! — dodał Kaniowa. Albo co?

— A to mój wróg! Mój wróg! — rzekł Wszebor. — Wolał bym się z nim bić, niż życie mu być winnym.

— Ta to nieszczęsna Kasia Spytkówna wszystkiemu winna — począł Kaniowa uśmiechając się — boście oba około niej zabiegali. Prawda, że na miejscu Tomka gdyby drugi był, rzekłby sobie: "Niech go Masław bije, dziewczka moją będzie"!

Wszebor się podniósł z posłania gwałtownie.

— Toż mnie boli! — krzyknął. — Dopieroś zgadł. Czuję, że gdybym ja na jego miejscu był, on na moim, uderzył się w piersi, nie poszedłbym go ratować.

Więc ja gorszy od niego.

— A on głupszy! — rozśmiał się Kaniowa.

— Teraz jam mu się pokłonić jeszcze powinien i być mu bratem na życie całe!

— I będzie ci jeździł w odwiedziny, rzekł Kaniowa, a do twojej małżonki zęby wyszczerzał!

Zmilczeli chwilę.

— Gdyby z lichem byli mnie ci Mazurowie trochę posiekli, wolałbym, jak mu być winnym, zem cały został — dodał Wszebor.

Drudzy się śmieli z niego.

Gawędzono całą noc i w obozie do dnia spokoju nie było; czeladź i służba tłukła się po pobojowisku i wracała. Trzeba też było myśleć, co dalej. Nazajutrz do dnia Płock zajmować wysyłano.

Zewsząd przychodziły wieści, iż na głowę pobity Masław musiał z małą garstką do Prusaków uchodzić, niebezpieczeństwa więc nowej napaści nie było, lecz korzystać musiano ze zwycięstwa i rozsianej trwogi.

Cały następny dzień liczono pobitych i składano stosami; wiele z nich w Wiśle potonęło, a i tak na tysiące rachowano pobitych. Padło i ze strony króla wojaków mnogo, którym pogrzeb chrześcijański sprawiać musiano.

Rozdział VI.

Wiosna była czarna jeszcze; drzewa stały głuche na nią, trawa tylko zbudziła się już i stroiła mokre łąki zielenią. Spłynęły były lody, zlały śnieżne skorupy, deszcz dobił czarnych śniegów resztki i uwolnił z więzów, co leżało pod nimi. Z

południa ptaki leciały, gwarnym życiem odzywały się błota i lasy. Niedźwiedź

zbudził się w borach i szedł wychudły a rozespany na łowy. Z barci wyleciały pszczoły na pierwsze kwiaty, bociany przechadzały się po łąkach, obejmując panowanie. Górnym szlakiem bujały orły i jastrzębie.

Z puszczy, z głębi wychodziła o kiju stara niewiasta, szła i oglądała się trwożnie. Zgarbione miała plecy, zsiniałe usta, włos siwy rozdartany rozścielał się po jej ramionach. Gruba siermięga, zdarta i zwalana, pod nią czarne płócienne chusty, nogi bose, nawet sakwy nie miała na plecach. Szła, podpierając się kijem, bez drogi, bez myśli, jakby ją parła jaka siła, zawsze w jedną stronę. Stawała nad leżącą na drodze kłodą i przełaziła przez nią, nie chcąc ominąć, przychodziła nad strumień i brnęła przez niego, nie szukając kładki. Coś ją wiodło, coś ciągnęło, ciągle tam, gdzieś, gdzie

prowadziło serce. Tak przeszła puszcze, tak przebrnęła przez błota.

Nocą kładła się na mokrej ziemi i spała snem kamiennym. Wilcy przychodzili, patrzali i nie tknąwszy jej, kryli się w lesie; patrzyły na nią, siedząc, niedźwiedzie i wiodły oczyma, gdy poszła; z gałęzi nad głową jej żbik kocimi oczyma przyglądał

się i nie ruszał. Na łące pasły się żubrów stada, popodnosiły głowy, prychnęły i pierzchły przed nią. Głodna schylała się ku trawom i żuła je w ustach; czasem dłonią zaczerpnęła wodę i kropel kilka połknęła. Szła tak już dni wiele, szła czując, że coraz bliżej było. Las się rozstał, w dolinie dymią chaty, na wyżynie dwór stoi, ludzie się koło niego kręcą.

Stara stanęła, na kiju się oparła i patrzeć zaczęła; wciągnęła w piersi powietrza, siadła. Z nóg bosych krew ciekła, popatrzała na nie, nie czuła bólu. Wieczór nadchodził, do wsi było daleko jeszcze, a jej niespieszno. Nieprędko się podniosła i poczęła iść znowu. Szła i stawiała. Coś ją ciągnęło, coś odpychało; i chciała dalej, i bała się; wzrokiem błędnym powlokła dokoła. Pusto było. Dwa kruki czarne siedziały na dębie i kłóciły się z sobą. To jeden się zrywał, to drugi, trzepały skrzydłami, groziły dziobami. Stara popatrzyła na nie. Wciągnęła powietrze; coś jej piersiom ono powiedziało, siadła jak zmożona. Łzy puściły się jej z powiek zeschniętych i biegły marszczkami, jak strumyki po roli zoranej, aż do ust, wpadały do nich i nikły. Piła te łzy swoje. Podparła się na rękę, głowa kołysać się zaczęła jak dziecię, gdy je matka usypia. Czy tak myśl swą usypiała?

Mrok zapadał, do wsi było daleko, na polu pusto, dwa kruki krakały, lecąc przed nią. Podeszła kroków niewiele, padła na ziemię, twarz przyłożyła do niej.

Skarżyła się może starej macierzy, bo jęk słyszeć było. Podniosła się z krzykiem i padła znowu. Coś ją ciągnęło, coś odpychało. Mrok padał...

Zza lasów, zza czarnych pokazał się rąbek księżycy, czerwony, krwawy, straszny jak wylupione oko, z którego się sączy posoka. Coraz więcej, coraz wyżej począł się podnosić. Wpół czarna chmurka go przepasała, wyszedł jakby ranny zza borów, obejrzał się, pobladł, pożółknął. Stara spojrziała na niego i głową potrząsała, jak znajomemu druhowi. Zdawała się mówić mu:

— Patrz, co ze mną!

Księżyc włókł się dalej, nie odpowiadając; ręką rzuciła ku niemu z pogardą, szła dalej.

Na wzgórzu łysym, przeciw dworu, stał dąb ogromny, suchy. Trup to był

starego drzewa. Korę z niego odarto, boki mu powypalano, wiatr gałęzie poobłamywał, kilka grubych konarów sterczało od pnia pokaleczonego, jak ręce poobcinane. Dwa kruki siedziały na nim i kłóciły się z sobą. Na najgrubszej gałęzi coś wisiało. Lekki wiatr poruszał tym ciężarem i kręcił nim, jak żywym go czyniąc.

Był to trup człowieka z czerwonym włosom na obwisłej głowie, który powiew wiatru podnosił. Na czole ze słomy spleciona przybita była korona. Oczy miał

otwarte, ale próżne, kruki mu je już wydlubały. I ciało czy ludzie, czy zwierzęta pokrajały strasznie;

czarnymi szmaty wisiały reszty jego na kościach.

Dwa wilki bure posiadały pod nim, głowy do góry popodnosiły i czekały, rychło im wiatr go zrzuci. Czekały cierpliwie, języki głodne wywiesiwszy z paszczęki. Niekiedy jeden z nich wstał, szczerknął, popędził towarzysza, pokazały sobie zęby i znowu siadły spokojnie, głowy podnosząc do góry. Kruki górą, wilcy dołem spierali się o trupa, którym wiatr obracał powoli.

Stara szła i oczy jej padły na wisielca. Stała, drgnęła, podparła się na kij i rozśmiała wielkim, strasznym, dzikim głosem, a w puszczy odpowiedziało jej echo dziksze jeszcze raz i drugi. Wilki pierzchnęły oba, krucy odlecieli. Posiadali dalej.

Stara szła, przyglądając się trupowi. Zbliżyła się pod sam pień drzewa, postawiła kij, siadła, ręce dwie na kolanach oparła, w dłonie ujęła głowę. Śmiała się znowu. Śmiała się, a dwie łyzy ciekły marszczkami po policzkach do ust i w ustach tonęły.

Gałąź, na której trup wisiał, chrzęszczała, jakby się skarżyła, po co jej taki ciężar dźwigać każą. Mokrymi oczyma stara patrzyła na trupa z jednej, księżyc z drugiej, wilcy z trzeciej strony, a noc obwijała świat płaszczem czarnym.

Ściemniało. Stara głowę kołysała znowu, a z ust, do których tyle łez nabiegło, dobył się cichy śpiew, jaki matki nad kołyską nuca, gdy niemowlę usypiają.

Śpiewała długo, patrzyła w górę i płakała, aż w piersi tchu zabrakło, w powiekach łez. Siedziała niema, bez ruchu, ale oczy miała w niego wlepione.

Wtem w borach zaszumiało z daleka, wicher-król przybywał!

Czarne chmurki po niebie go niosły. Uradowała mu się stara i oczy jej zaświeciły. Zaszumiało w dolinie, trup się poruszył i zwijać zaczął. Kręcił nim wicher tak, iż korona spadła, włosy się rozwiały, poły siermięgi rozeszły szeroko; był

to taniec śmierci wisielca! I stara, patrząc na to, wzięła się za siermięgę, a wirować i okręcać poczęła, śpiewając coraz głośniejsze, coraz żywiej, przerywając sobie śmiechem.

Wilcy wyć zaczęli, podniósłszy do góry paszcze, wicher się wzmagął coraz silniejszy. Wszystko się zdawało w tym tańcu śmierci, przez wiatr przyniesionym, okręcać: trup, stara niewiasta, krucy w powietrzu, wilcy, co drzewo obiegali dokoła, i chmury na niebie, spoza których księżyc zbladły, to się odślaniał, to chował w nie i poszarpanymi otworami ich przeglądał. Jak muzyka świszczał wicher w drzew gałęziach i po jarach, i po suchych błot trzcinach.

Stara pieśń nuciła, obracała się żywiej coraz, szalonym wirem, aż

zachrzęszczało u góry. Stała; z gałęzią razem trup wisielca leciał na ziemię i padł u nóg jej. Stara nad nim stała, księżyc wyrzał zza chmury. Patrzyła z dala, zbliżyła się powoli. Siadła u pnia i ostrożnie głowę z wydzióbanymi oczyma wzięła na kolana. W tejże chwili pieśń u kołyski na myśl jej przyszła i śpiewać ją zaczęła, i płakać znowu. Kruki siadły na dębie i krakały jej nad głową, wilcy

się przysunęli tuż, tuż i wachać zaczęli wisielca. Był dla nich dojrzałym ten owoc dębowy. W

ciemnościach czworo oczu zbójceckich skierowało się na starą, która im łup odbierała; pokazali jej zęby białe. Zmierzyli się z nią oczyma. Ona wzięła kij stojący u pnia i grozić im zaczęła.

— Precz mi sobaki od kniaziowskiego ciała! A won! — poczęła głosem

ochryplym. — Nie wiecie, kto to jest! Płocki książ! Król! Masław! A tak!

mój syn, mój syn! Precz, sobaki przeklęte, a won!

Wilcy się cofnęli, stara śmielsza była od nich w obronie tych zwłok drogich.

Głowę tuliła na kolanach i mruczała do siebie:

— Tak mu skończyć było! Tak! Wszystkiego kosztował, a chciało się więcej!

Jak był jeszcze dzieciną, rwał się tak za wszystkim. Wrogi nie mogli, druhy powiesili. Cha cha! Wiedziałam, że tak będzie!

Głową kołysać zaczęła i płakać. Spojrzała księżycowi oko w oko, jakby go o radę pytała.

— Nieprawda? Wilkom go zjeść nie damy? Matka wychowała, matka

pochowała. A matkę kto pochowa? Wilcy zjedzą, rozśmiała się. — Na zdrowie!

I głowę złożywszy na ziemi, wstała, odgarniając siwe włosy. Z kijem w ręku poszła wprost na wilki, pędząc je jak psy podwórzowe.

— Nie możecie poczekać, paskudne sobaki! — mówiła do nich. — Oddam

wam kości moje za jego! Jego nie!

Podniosła kij i wilki, odstąpiwszy opodal, posiadały na ziemi. Popatrzała na księżyc z uśmiechem.

— Pomagaj! — zawołała.

Uklękała na ziemi przy trupie, na darninie, kościste ręce zatopiła w piasku, odrzuciła zeschlą trawę i mech, grzebać poczęła. Zrazu szło powoli, piasek się staczał nazad do dołu, zaczęła coraz gwałtowniej rękami go odrzucać precz, daleko od siebie. Chwytała garściami całymi, oburącz, kopała, grzebała, odwaliała na brzegi.

Niekiedy spojrzała na trupa i szeptała po cichu:

— Nie bój się, już ja ci miękko łóżeczko uścielę i kamień znajdę pod głowę, płachtą go obwinę, oczy ci suchym piaseczkiem zasypię, aby się pogoіły. Będiesz spał, jak w kołysce, spokojnie!

Zdyszana, to spoczywała klęcząc, to znowu rwała się do roboty zapalczywie.

Dół rosnał, rozszerzał się, pogłębiał.

Księżyc jednym bokiem w niego zaglądał, drugi cień od pnia zakrywał. Stara się zwracała do księżycyca po radę:

— Kniaziu bracie, dość czy nie? Głębiej jeszcze? Prawda? Głębiej! Wilcy też kopać umieją, ale niedoczekanie! Zamiast kamienia ja się położę, a jak mnie zjedzą, jego się im odechce.

Klęka zdyszana odpocząć znowu, ręce jej opadły pokrwawione. Wśród jamy trafiła na dębu korzenie; wrywając je, palce poszarpała, a gdy palce nie starczyły, pochyliła się, rwąc je zębami.

— To było życie! — mówiła, grzebiąc dalej. — Oj, życie! Boso dzieckiem chodził, w złocie potem cały. Tysiącom rozkazywał, a nie było grobu wykopać komu! Otóż, tobie korona, korona!

Na ziemi leżało owo słomiane godło szyderskie; stara je podrzuciła precz. Dół

już był głęboki, spuściła się weń, do koła rozgarniając go jeszcze; miękki piasek łatwo kopać było.

Gdy już głową ledwie ponad dół sięgała, wychyliła się do trupa i cicho szeptała:

— Czekaj, jeszcze nie gotowe! Matka stara, ręce jej pokostniały!

Księżyc toczył się dalej po niebie i z wolna zniżał już nawet. Stara grzebała się ostatkiem, potem tok na dnie ubijać zaczęła nogami.

Późno w noc wicher ucichł, księżyc się schował, gdy z dołu stara wylazła zdyszana.

— Kniaziu, panie, łożnica gotowa! Kamień w niej obwinięty płachtą i siermięga moja na dnie. Chodź!

To mówiąc, oburącz objęła trupa, a poczuwszy przy tej piersi, która go niegdyś karmiła, przycisnęła do niej, jakby puścić nie mogła i lulala jak dziecię, a sama jak dziecię płakała.

Nad dołem stało czworo wilczych oczu i patrzyło.

Księżyc znikł, ciemności przyszły, zerwała się stara, ciągnąc trupa do mogiły.

Stoczył się z brzegu i twarzą upadł na dno. Skoczyła i ona za nim, aby go na sen ułożyć, sił ostatkiem obracając twarz do góry. Obwinięła nogi, pocałowała w czoło.

— Śpij! Śpij! — rzekła po cichu. — Tak dobrze, tu nikt nie zdradzi...

Rękami brzeg ujęła, by wyjść z dołu, piasek sypał się na nią; Wilcy tuż zębami kłapali.

— Poczekajcież! — zawołała. — Com przyrzekła, dotrzymam; do dnia daleko.

Spojrzała na syna i piasek sypać zaczęła, sypała go z pośpiechem, sypała z wściekłością, z

niecierpliwością, zajadle, rękami i nogami. Coraz to spojrzęła w dół.

Twarz jeszcze widać było, a twarzy żałowała; zasunęła się i ona...

— Śpij spokojnie!

Piasek jak żywy spod stóp i dłoni jej się wymykał, lecąc do dołu, i wypełniał go, zakrywał, aż pozostał tylko ślad poruszonej ziemi i podeptane łożysko.

Stara, skończywszy robotę, tchnęła ciężko, obejrzała się dokoła. Dniało ponad lasami, a spośród rozbitych obłoków blada gwiazdka jutrzeńki patrzyła ciekawie.

— Bywaj i ty zdrowa! — szepnęła staruszka. — Komu wstawać, a mnie się kłaść trzeba.

Rozśmiała się raz jeszcze, rozciągnęła na świeżym piasku jak długa, jedną rękę jak do snu podłożyła pod głowę, drugą sobie oczy przykryła, tchnęła ciężko i usnęła.

Wilcy siedzieli z daleka, patrzali. Jeden z nich zbliżył się nieco i przysiadł

znowu, czekał, podszedł drugi. W głowach siadł pierwszy, drugi w nogach; warczeli na siebie. Stara spała.

Na niebiosach dniało, dniało, rumieniało i jaśniało. Dwóch ludzi szło od dworu w las.

— Patrz, wisielca z dębu zdjęli!

— Nie ma go?

— Wiatr obłamał z gałęzią.

Podeszli bojaźliwie i stanęli. Jeden z nich krzyknął przerażony:

— Czarownik był! Patrzajcie! Chłopaśmy powiesili, a tu baba leży, co ją wilcy poszarpali.

Stanęli zdumieni.

— Czarownik był! — powtórzył drugi. — Dobrze zrobił kunigas, że go wymęczywszy, obwiesił. Co naszych przez niego padło! Czarownik był!

I poszli do lasu.

Kości starej długo pod dębem bieleły, a wiatr słomianą pomiatał koronę.

Rozdział VII.

Na kilka dni przed bitwą wielką, która Kaźmirzowi dała zwycięstwo i koronę, na Olszowym Horodyszczu strapienie wielkie było. Stary Spytek zachorzał. Wiosna, co drugich do żywota woła,

jego ciągnęła do grobu; czuł, że zielonych liści nie dożyje.

Dusiło go powietrze upajające, nocą leżał w gorączce, dnię spędzał senny. Niepokoił

się i odzież rwał na sobie. Sobka starania go niecierpliwiły, szczebiotania żony nie znosił, płacz córki był mu niemiły. Odpędzał wszystkich od siebie.

Hanna Belinowa, choć doń żal wielki miała, przynosiła mu zioła i leki, stary odtrącał wszystko, nic już nie chciał.

— A do czego mi życie, mrucał, kalece? Na koń nie siądę, topora nie podniosę, świata nie widzę. Co mi życie?

Przyszedł ojciec Gedeon z pociechą do niego, słuchał, potrząsając głową, dał

się wypowiedzieć, dał na śmierć pobłogosławić i prosił, by mu już snu nie przerywano. Ostatniej nocy Sobek czuwał przy nim, o północy kury piał; ruszył się chory i zawołał go:

— Stary, rzekł ledwie dosłyszalnym głosem — skonać nie mogę. Słyszysz, wszystko mi wyjmij spod głowy, lżejsze będzie skonanie.

Płacząc usłuchał sługa, wyciągnął, co było pod głową; Spytek legł jak długi, ręce na piersiach założył, oczy przymknął, i nim się dzień zrobił, zimny był i skostniały.

Nadbiegła Marta z rozpuszczonymi włosami, z załamanymi rękami, zawodząc głośno, szlochając strasznie, płacząc, aż się łkanie po całym dworcu rozlegało.

Nadeszła Kasia zapłakana, przyszły niewiasty, ile ich było, posłano po płaczki, aby około ciała zawodziły.

Tegoż dnia zakrzątnięto się około chrześcijańskiego pogrzebu. Trumnę dębową z jednego kłoca, jaką dla siebie pono gotową miał Belina, oddał dla starego; zabito wieko, wyprowadzono na pagórek zwłoki i pogrzebał je ksiądz Gedeon, a wszyscy na wieczny odprowadzili spoczynek.

Na Horodyszczu mało co z nim ubyło, spokojniej wszyscy się czuli, a stary Sobek płakał. Jejmość, co tak bardzo jęczała i szlochała w początku, drugiego dnia siedziała cicho zadumana i wzdychała. Zaśmiała się raz na trzeci dzień, i sama to sobie mając za złe, zapłakała trochę. Kasia chodziła smutna.

Wszyscy wyglądali wieści od swoich, Belina od syna, Spytkowa od przyszłego zięcia. W kilka dni jakoś się w jej głowie zmieniło dużo rzeczy; postrzegła, że tak i Kasię gwałtem za Wszebora wydawać było okrucieństwem. Kiedy się dziewczynie innego zachciało, a ten też ją tak miłuje, a chłop dobry, rodzice poczciwi, co królowi jegomości do mojej córki? Mógł nieboszczyk ją przyrzekać, bo co ci mężczyźni o naszych sprawach wiedzą! A czemu bym ja nie mogła pójść sama za Wszebora?

Ścisnął mnie tak za ręce, aż się gorąco robiło, patrzył takimi oczyma, jakby zjeść mnie chciał. Kasia

mu się przez zazdrość przywidziała. Jakby Kasi nie było, ze mną by się ożenić musiał. Wojak tęgi i chłop przystojny! Jam ci też nie stara.

Tak sobie mówiła pani Spytkowa, a jednego wieczora, gdy Belinowa przy niej usiadła, poczęła rozmowę poufną.

— Niech mu tam Bóg da spokój wieczny, nieboszczykowi panu mojemu, —

mówiła cicho do Hanny — ale za życia z nim ciężko nam było. O, rękę miał żelazną!

Kasi mi też żal, co ją tak łatwo dał na królewskie zeswatanie. Dziewka do Wszebora serca nie ma, choć na niego nic powiedzieć nie można, a ja tak i wiem, że jej ktoś inny w oko wpadł...

Hanna Belinowa niedowierzająco spojrzała.

— Naprawdę to mówicie?

— A co bym ja udawać miała! Wszak wy mnie znacie; ja i grzechy moje wygadam, a fałszu nigdy. Dziewczyny mi żal, to nie dla niej mąż!

Potrząsała głową dziwnie.

— Myślicie, że ja nie widzę nic? Ho ho! Kasia mi chudnie, po nocach płacze, a czyja temu wina, to ja wiem! Oj, wiem!

Uśmiechnęła się i na ucho Belinowej szepnęła:

— Tomko mi ją zbałamucił, bodaj zdrów był!

Hanna zmilczała jeszcze.

— Aleście ją przyrzekli Doliwie...

— Ja? Jako żywo odparła Marta mnie się nie śniło! Wiecie, że z

nieboszczykiem nie było rozmowy, ani rady; jak przykazał, musiało być. Ja tam głosu nie miała.

— Ale się stało! Królowiście dali słowo — szepnęła Hanna.

Spytkowa głową potrząsała.

— E e! — rzekła. Dałoby się to jakoś pogodzić, tylko ja bo wam mówić nie śmiem.

— Ano mówcie — odezwała się spokojna Hanna, wpatrując się jej w oczy, —

mówcie, proszę, wszak wiecie, że we mnie przyjaciółkę macie.

— Tylko, żeby o tym nikt nie wiedział! — niespokojnie oglądając się, mówiła Spytkowa. Toć to

wiecie, że gdy mnie z Kasią w puszczy ratowali Doliwowie, tośmy obie myślały, że mąż mój nie żył. Byłam tak jak wdowa. Caluteńką drogę do Horodyszczu Wszebor szedł przy moim koniu, a w oczy mi patrzył. A jak patrzył, żebyście wiedzieli! Zsadzając mnie z konia, ile razy za rękę wziął, to aż mnie rumieńce paliły, tak ścisnął. On się nigdy w Kaśce nie kochał, ino we mnie! Chłopak zdrajca chciał się do mnie przybliżyć...

Hanna jakoś głową kiwała trochę niedowierzająco.

— Nawet później — moja Hanno — ciągnęła po cichu wdowa, do Kasi nigdy się nie skradał, a mnie to i wywoływał, i jak stanie na dole, bywało, a ja na wyżkach, jak pocznie rozmowę, jak wlepi oczy! Aż mi czasem wstyd było, gdyby młodej dziewczeczce. No, cóż tu mówić więcej! Teraz, kiedy taki uparty a rozmiłowany, cóż robić, moja Hanno, co robić? Żeby się człek nie męczył, toć bym już poszła za niego.

Zdumiała się Belinowa, a Spytkowa do ucha jej dodała:

— Niechby wasz sobie Kasię brał!

Matce, co kochała syna, rozradowało się stare oblicze, w milczeniu ręką ją objęła za szyję.

— Naprawdę to mówicie?

— Jak mnie żywą widzicie!

I poczęły cicho szeptać ze sobą.

Wielka się przyjaźń wzięła między Belinów domem a Spytkową. Ona tu teraz panowała, jako sama chciała, a dogadzano jej we wszystkim. Stary nawet Belina był

na rozkazy jejmości.

Od czasu, jak wojska wyciągnęły z Olszowej doliny, prawie od nich wieści nie było. Czasem nadszedł ktoś, nadszedł zbłąkany, goniący za królem ziemianin i przyniósł plotkę jakąś niedorzeczną. Belina więcej się trwożył, niż spodziewał. O

siłach Masława mówiono szeroko, a choć ruskie posiłki były obiecane, liczyć na nie bardzo nikt nie mógł. Z tak daleka miałyż one w czas nadciągnąć? Na polskie rycerstwo, Ruś i cesarskich sześciuset Masław swoich Mazurów, Pomorców, Prusaków liczył tysiące. Masław był rozzuchwalony, królewscy strwożone rozbitki.

Dlatego Belina na zamku strzec się musiał i myśleć o jutrze. Gdyby króla rozbito, znowu by się tu bronić przyszło. A teraz ludzi garść była niewielka, niedobitki, kalecy, i chorzy w większej części. Tomko nawet poszedł z drugimi, a czy miał wrócić, któż przewidzieć mógł? Więc choć wiosna szła z zielonym wiankiem i śpiewami, na Horodyszczu smutno było. Co rana stary wychodził na wyżki nad wrota, stawał na pomoście i patrzył w dolinę, a słuchał. Nie jedzie tam co?

Nie tętni?

Cisza dokoła! Las tylko szumi ponuro, a górą lecą obłoki; niekiedy wysunie się koza z lasu, podniesie głowę, popatrzy oczyma czarnymi, tupnie nóżką suchą i umknie, widać tylko białą jej płachtę z tyłu.

Belina smutne miał przeczucia. Krucy ciągnęli ku Wiśle. Widziały sługi i szeptały o tym sobie. Co dzień większe płynęły tam stada kracząc, a krucy wiedzą, gdzie i po co lecą. Bitwę czują zawczasu, trupa, nim padł, przewidzą. Siadą czasem na drzewach i widać, jak ostrzą dzioby. Wszystkie stada w tamtą stronę. Dziewki służebne, baby stare widzą to co dzień i o niczym nie mówią przy kądzieli, o tym tylko. Belinowa modli się a popłakuje. Stary z południa raz drugi wchodzi nad wrota i rozgląda się dokoła, wieczorem wchodzi raz trzeci. Czasem ojciec Gedeon ciągnie za nim, słyszy, jak wzdycha, myśli zgaduje i pociesza:

— A nie wybawił was Bóg raz cudem? Wiercie Mu i ufajcie! Z krzyżem poszli i zwyciężą tym znakiem!

Czas się włókł żółtym krokiem, dnie wyciągały jak nici, co je zręczna ręka z kądzieli wysnuwa bez końca. Gdy słońce weszło, stało marudne na niebiosach, ani go się zbyć było; jak nadeszła noc, nim kury zapiały, wieki to trwało.

Dziewczęta drzemały u kądziolek, pieśni się im przebrało, tajemnice sobie wyszeptały wszystkie, chłopców nie było, życia brakło. Prorokowały różnie, nic się nie iściło. Jedna mówiła:

— Śniłam o ogniu, będą goście lub nowiny. — Przeszedł dzień, ni gości, ni wieści nie było.

Strach ogarniał coraz większy. Jeden ojciec Gedeon mówił spokojnie:

— Dzieci moje! Uchowaj Boże klęski, najpierw by tu przyszły zbiegi! Kiedy ich nie ma, dobrze wszystko.

Na czole starego Beliny, choć on nigdy prawie nie mówił nic, troska stała wypisana marszczkami, które z niego nie schodziły.

— Troskasz się o syna! — mówił ksiądz. — Zobaczysz, nic mu się nie stanie!

— Ojczy mój! Jednego mam — odpowiadał gospodarz — a miły mi on, jako życie miłe. Bóg jednak widzi i tego bym dał na ofiarę, byle królestwo to w niewolę pogan dziką nie padło!

Jednego tak rana stary zszedł z wyżek nad wrotami i włókł się do dworca, suwając nogami. Na ostrokołach teraz prawie straży nie było, dziewczki, co bieliznę prały, właśnie ją na słońce wieszały, bo wiosenny wiatr i słońce, choć twarz ludzką opala, płótno bieli. Wtem Hela stara spojrzała ku lasowi.

—Aj —krzyknęła — patrzajcie! Patrzajcie!

Oto tam konny leci ku Horodyszczu jak szalony. Patrzcie, na szyi się uwiesił

koniowi i cwałem go pędzi. A, pewnie z bitwy uszedł i nasi rozbici!

Krzyknęły dziewczęta wszystkie:

— A, nasi rozbici!

— Nasi rozbici! — rozległo się po Horodyszczu i od ostrokołów; porzucawszy płótno leciały dziewczęta na wyżki wołając:

— Nasi rozbici!

Na przestraszonych spadł okrzyk niewieści jak piorun. Nikt nie pytał, skąd to wzięły, łamali ręce wszyscy, krzycząc i za wodząc żałośliwie:

— Rozbici! Rozbici nasi!

I biegli ku wrotom jedni, nad wrota drudzy, a patrzali.

W dolinie na koniu pomykał jeździec, a zoczywszy tych, co na wałach stali, ręką im począł dawać znaki, konia popędzał co żywo.

Zbladł stary Belina.

Na całym zamczysku cisza, tylko łkanie słychać i płacz tłumiony. Jeździec leci, zbliża się. Stary Belina syna w nim poznał i Bogu dziękował, że choć on żyw powraca.

— Hanno! Tomek żyw! To on! — zawołał.

Matka ręce złożyła. Tchu im zabrakło w piersi. Ziemia tętni pod nogami konia, już pod wrotami, na moście. Wpadł i z konia się zsunął rodzicom do nóg.

Z dala blada Kasia stała, oczyma do niej poleciał; serce mu zabiło, za piersi się wziął. Milczenie zdało się potwierdzać klęskę.

Wtem z ust mu się wyrwało:

— Masław pobity na głowę!

— A król?

— Król ciężko ranny! Pole trupami zasłane! Bitwa była sroga, okrutna, długa, zabójcza, nareszcie motłoch ustąpić musiał, uszli.

Wszyscy uklękli ze złożonymi rękami Bogu dziękować.

— Hosanna! podnosząc dłonie do góry, zawołał ojciec Gedeon.

Jak wielki był przestrach, tak radość potem szalona. Ściskali się wszyscy płacząc, a ksiądz gwałtem przed ołtarz prowadził.

— Bogu naprzód dziękować! — wołał. — On dał zwycięstwo! On męstwo dał! On wiódł do boju!

— Tak! — przerwał Tomko. — Widzieli ludzie wśród najcięższej walki

unoszące się nad wojskiem naszym w obłokach postaci w bieli, zbrojnego męża z mieczem ognistym, niewiastę promienną, z płaszczem w gwiazdy szytym, która nas osłaniała. Spod stóp jej pioruny leciały na niewiernych.

Kląkł ojciec Gedeon u ołtarza i pieśń zwycięską na chwałę bożą zanucił.

Ledwie się skończyło, otoczyli wszyscy Tomka, siostra mu się uwiesiła na szyi, matka głaskała go po głowie, a z daleka kradzionym od ludzi wzrokiem Kasia coś mu mówiła, co on chyba jeden rozumiał. I Spytkowa nigdy dlań tak czuła, jak dziś nie była, a pytali wszyscy, obsiedli go dokoła i słuchali, a nasłuchać się nie mogli. Opowiadał od rana do nocy, zawsze było mało, a co się ruszyć chciał, wstrzymywano go:

— Mów jeszcze!

Wieczorem dopiero Zdana go sobie zabrała; wybiegła z nim w podwórze i rękami go objęła.

— A Mszczuj? — spytała cicho.

— Mszczuj zdrów i bił się dobrze — odparł Tomko. — Nie wiem, gdzie on ją zdobył i czy wolno, a godzi się, śle ci tu chustę jedwabną. Jeśli jej nie znalazł na zabitym Mazurze, to kupił u Rusina.

Chustka była piękna, ale lice się Zdanie, nie zarumieniło. Szybko porwała ją i schowała, aby jej ludzkie nie śmiało zobaczyć oko. Łzy stanęły na powiekach.

Tomko westchnął ciężko.

— Słuchaj, Zdana! Wiem, że się to nie godzi, zrękowana innemu, ale ja kochać jej przestać nie mogę. Mam sznur pereł dla Kasi, ty jej oddaj po cichu, niech matka nie zobaczy! Ile pereł, tyle dziesięćkroć łez po niej wyleję!

Słowa mu się urywały.

— Los tak chciał, kończył po chwili, a urąga mi się on. Gdyby nie ja, Wszebor by dziś piasek gryzł, a ja bym może Kasię miał. Jam go z rąk Masława ocalił!

Spuścił głowę, jakby mu dobrego czynu żal teraz było.

— Nie rzekł mi i Bóg zapłać! Tylko okiem rzucił takim, jakby zjeść mnie za to chciał jeszcze.

Zdana słuchała jednym uszkiem, oczyma w chustkę swą patrzyła i przyciskała ją do piersi.

— A wiecie, że umarł Spytek? — dodała.

Nie było czasu wśród dnia ani się dowiedzieć o to, a jejmość o nieboszczyku nierada wspominała. Tomko z podziwienia krzyknął:

— Co zaś?

— Zmarło mu się biednemu! Spytkowa teraz wdową. Któż wie! Kto wie!

Wiele się rzeczy zmienić może. Taka dla nas serdeczna, taka z matką bliska!

Otuchy trochę wstąpiło młodzianowi do serca. Zdana mu rękę ścisnęła i z perłami w dłoni do Kasi pobiegła.

Znowu na Horodyszczu pojaśniało, poweselało, nie obawiano się ni wrót otwierać, ni na łowy ciągnąć. Czerń siedziała po chatach i ciągnęła z pługami na pola, kup żadnych nie widać już było.

Od króla przyszły wieści, że na Mazury pociągnął i po drodze kościoły opustoszałe podnosił.

Kilka tygodni upłynęło, pączki na drzewach puszczały, zieleniały łoży nad rzeczką i czeremchy rozwijały liście, gdy jednego rana dwaj Doliwowie u wrót się pokazali. Tomko właśnie stał w bramie, Mszczuja powitał po bratersku, na Wszebora nie patrząc nawet. Jak się tylko dowiedziała o nim Spytkowa, ubrała się zaraz jak na święto i wyszła ku niemu. Kasi iść nie kazała, ta się też w komorze ze łzami za mknęła.

Wśród drugiego podwórza się z sobą spotkali piękna wdowa z zięciem

przyszłym. Rzucił oczyma poza nią, czy gdzie córki nie zobaczy, matka mu się tylko uśmiechała.

— Wiesz o mojej niedoli? — krzyknęła, zaraz ręce łamiąc. — Zmarł mi mążysko! Zostałam sierotą! Co mam teraz poczynać, kto się ubogą zaopiekuje niewiastą?

Mówiąc spojrzała mu w oczy i z wielkiego smutku razem uśmiech na ustach się zjawił.

— Jam w was tylko ufała, o was myślała — mówiła — za rękę go biorąc.

Wszebor wciąż Kasi szukał oczami, spytać o nią nie śmiał jeszcze; wdowa też nie mówiła o córce wcale.

— Żebyście wiedzieli, jak umierał — poczęła, do nieboszczyka wracając —

tak mu skonać ciężko było. I przed śmiercią, żeby mi dał dobre słowo. Niech mu Bóg przebaczy, ale ciężkie z nim miałam życie. Stary bo był!

Mszczuj z Tomkiem poszedł szukać Zdany. Znaleźli ją łatwo, niby

przypadkiem poszła była na wały z dziewczętami, co przedzę na murawie słały. Stała cała różowa, fartuszek trzymając w ustach, z głową niby spuszczoną a oczkami podniesionymi, tak że spod powiek ukradkiem z dała na Mszczuja patrzyły. Maleńki rożek chustki jedwabnej wyglądał jej zza koszulki

białej. A gdy się spotkali, tak im było, że przemówić nie mogli ni słowa, i Tomko, co stał blisko, słyszał wyraźnie serc bicie, a potem uśmiezek cichy... i Zdana uciekła do dziewcząt.

Kasia siedziała w ciemnej komorze, główkę przyparłszy do ściany i płakała rzewnie.

Wszebor tymczasem słuchać musiał, jak mu wdowa o sobie mówiła. Długo wyczekawszy, o Kasię zapytał. Spuściła oczy matka, jakby jej to nie w smak było.

— To dziecko jeszcze — rzekła. — Czegoś teraz słaba. Ot, i nie wiem, gdzie się dzieje .

Stało się tak, że jej Wszebor tego dnia nie zobaczył i zły był najwięcej na matkę a niespokojny.

Doliwowie jechali stąd na swoje śmieciska; pokój wrócił, każdy się za domem oglądał, choć stał w gruzach. Trzeba było na nowo budowlę podnosić, gospodarstwo kleić, ludzi rozbiegłych zbierać i do posłuszeństwa zmuszać. Było im obu pilno, a ruszyć się nie mogli. Kwaśny siedział Wszebor i Mszczujowi nie lepiej było.

Drugiego czy trzeciego dnia, za Tomka poradą, poszedł był do macierzy, do kolan się jej skłoniwszy, o słowo prosić, że mu Zdane dadzą.

Hanna Belinowa nie była wielomówną niewiastą, posłyszawszy to, o czym wiedziała, głową tylko zaczęła potrząsać.

— Zdana taka młoda! Gdzie to jej tam o mężu myśleć! My jej wprzód nie damy, aż się Tomko ożeni.

— Miłościwa pani, możeż to być?

— Taka wola pana mego! — rzekła Hanna. — Ożeńcie Tomka ino, zobaczemy...

Zrozumiał Mszczuj, o co szło, i wieczorem wpadł na brata.

— Co ty myślisz o Kasi?

— A jużci! Zrękowana mi! Ino ksiądz pobłogostawi i do domu ją zabiorę.

— Domu jeszcze nie ma, rzekł Mszczuj, ano z tym mniejsza, dwór się postawi prędko. Niewiele na to potrzeba. Gorzej, że Kasia ciebie ani na oczy nie chce puścić.

— A co mi tam! — odparł Wszebor. — Niech mi ją tylko dadzą, zgodziemy się.

— Słuchaj, Wszebor, gdybyś rozum miał, nie żeniłbyś się z nią, — dodał

Mszczuj. — Wziąłbyś Spytkową, a po niej majątności połowę i co jeszcze przyjdzie jej z Rusi. Ta ci w oczy strasznie patrzy...

— Oburzył się Wszebor strasznie. Starą babę mi będzie swatać! — zawołał. —

Jać to na wylot rozumiem i znam, czego się tobie chce. Zdane byś wziął, więc bratu jej i Belinom dworujesz, a ja za ciebie mam płacić! A, niedoczekanie!

— Zapłaciłbyś ino za siebie sam, miły bracie — odezwał się Mszczuj — boć nie kto, tylko Tomko ci życie uratował, a gdyby nie on, nigdy byś Kasi na oczy nie widział.

— Uczynił, co był powinien! — zawołał Wszebor. — Daj ty mi pokój!

— Nie chcesz wdowy?

Wszebor, nie odpowiadając, na ziemię się położył do snu i gadać więcej nie chciał.

Siedzieli Doliwowie; co dzień Spytkowa wywabiała na rozmowę Wszebora, trzymała go na niej, póki mogła, i już się gniewać poczynała, że co miał słodszy coraz być, stawał się coraz mniej miłym, a więcej chmurnym.

Jednego dnia nawet wprost ją zagadnął, kiedy się wesela może spodziewać.

— Ho ho! A toć po ojcu żałoba — odparła Spytkowa. — Czy to wam nie wiadomo? Wdowie, sierocie, to tam jeszcze uchodzi, choćby nie dosiedziała do roku, niedziel sześciu, bo sobie sama rady nie da, a córce to się nie godzi.

Nie było już co mówić. Widząc go chmurnym, wdowa mu się uśmiechać i ząbki wyszczerzać zaczęła, a chichotała, zabawiała, aż wreszcie go do lepszej myśli przywiodła. Śmieli się oboje.

Knuła się tymczasem zdrada okrutna; pod Wszeborem dołki kopano, on o bożym świecie nie wiedział. Co najgorsza, sama pono Spytkowa z wielkiej miłości ku córce, która nagle się jej czuć dała, albo do spisku należała, lub przez szpary nań patrzyła. Kto wie, czy do poczciwej tej zdrady i ojca Gedeona nie wciągnięto, a Belinowie wszyscy się zmawiali. Kasię porwać chciano!

O mil trzy od Olszowego Horodyszczu, w głąb kraju, Belinowie mieli kawał

ziemi, osadę i dworzec. Cudem go nie spalono; zniszczono tylko, co było; zabrano, co się wziąć dało. Jeden ze starszyny osadników, który tam czernią do wodził, napatrzył bodaj dwór dla siebie i po panach sam go wziąć miał nadzieję, dlatego pono go ocalił. Stał dwór teraz pustkami, bo po zwycięstwie nad Masławem, gdy czerń zemsty się ulękła, wszystko samo w karby wracało.

Tomko z kilkunastu ludźmi zbrojnymi wyjechał na oględziny do Borów, które ojciec mu na gniazdo naznaczył. Znalazł tam cicho i spokojnie jak w grobie. Dwór stał wprawdzie otworem, ptastwo się do niego pownosiło, kuny i łasice gospodarowały, ale ściany były całe. Ludzie, co tak głośno krzyczeli, odgrażali się, napadali tak zuchwale, teraz po kątach siadłszy, o niczym, co się tu stało, i wiedzieć nie chcieli. Zaklinali się, że obcy jakiś motłoch nabiegł do Borów, aby je złupić, a oni się mnogości jego oprzeć nie mogli, w chatach siedzieli spokojnie, nigdy o niczym złym nie myśleli. Zaklinali się, że nie oni powywracali krzyże, nie oni napadali na grodki i dwory; wszystko to robiły jakieś nieznane włóczęgi.

Czy Tomko wierzył temu, czy nie, udał, że gotów był o niczym nie wiedzieć i, co było, zapomnieć; kazał tylko dwór odnawiać spiesznie, płoty stawić na nowo, ogniska porozwalane odbudować i ściany lepić, i włodarza postawił, aby robotników pilnował. Tegoż dnia siekiery koło drzewa zaczęły chodzić i żywo zabrano się do odnowy.

Póki Tomko siedział w Borach, tyle tylko, że się dziwów nasłuchał.

Przychodzili doń, stękając, ludzie, kłaniali aż do nóg, narzekali na nieszczęśliwe czasy, a szeptali jedni na drugich:

— Mutka, to prawda, że z tym motłochem chodził, grabieży ma pełną komorę, i Turga też nie lepszy... O, ci! Ano ja cały czas domam rzepę surową jadł.

Drugi potem na pierwszego składał.

— Wszystkiemu winien Kisiel, a teraz przypadł do ziemi i niewinnego udaje!

Nie pozwał Tomko nikogo, opatrzył, rozporządził i pojechał nazad do Horodyszczu, nikomu się nie przyznając oprócz ojca, kędy bywał.

Doliwowie siedzieli jeszcze; ciągle niby wyjeżdżać mieli, a odjechać im było niesporo. Mszczuj chciał mieć sobie zapewnioną Zdane, Wszebor Kasię. Bracia z sobą ni źle, ni dobrze nie byli. Gdy przyszedli do izby wieczorem, spojrzeli jeden na drugiego, ledwie które słówko jakie bąknął, ziewnęli i spać się kładli.

Jednego rana, nim powstawali jeszcze, tylko co się obudzili, w podwórzu słyszą krzyk srogi, zawodzenie okrutne, jakby kto umarł lub konał. Wszebor się zerwał i ucha nastawił. Poznał, że głos był niczyj inny, tylko wdowy Spytkowej. Co prędzej więc począł brać odzież na siebie i pobiegł w podwórze.

Mszczuj się jeszcze wyciągał i cale się nie spieszył.

Wśród podwórka stała Spytkowa, ubrana już bardzo strojnie, jak była zwykła, z rączkami załamany, z chustą białą, jakby do ocierania łez naumyślnie przysposobioną i... płakała.

— Ratujcie mnie niebogę! Pomóżcie mi sierocie! Córkę moją jedynaczkę mi porwano! Kasia moja kochana! Gdzie się ty podziewasz? O, doło ty moja, niedoło!

Dziwna była rzecz, że choć oczy chustką białą ocierała, jakoś łzy nie ciekły, a choć tak narzekała głośno, nikomu się w jej straszną rozpacz wierzyć nie chciało.

Stał tuż Belina stary, Hanna i Zdana, i czeladzi dużo, i niewiasty wszystkie, na rękach popodpierane, z fartuchami w palcach, patrzali na nią wszyscy, nikt się jakoś nie ruszał.

Tomka jednego nie było.

Wszebor wpadł nagle jak burza.

— Co się wam stało, miłościwa pani, co się stało?

— A, co się stało?

— Nieszczęśliważ ja sierota, jedynaczkę moją, oko moje w głowie jedyne, Kasię mi ukradziono!

— Jak? Gdzie? Kto? Kiedy?

— Stąd, od waszego boku? — zakrzyknął Doliwa. — Byćże to może? O dniu białym?

— Nic ja nie wiem, ni kto, ni kiedy! Nie wiem! Ot, tak, znikła, wpadła jak w wodę! Nie ma mojej pociechy! Kasiuni mojej nie ma! O ja matka nieszczęśliwa, sierota!

Zaczęła płakać Spytkowa i chustką oczy zakryła. Wszebor w pierwszym zapale do szopy skoczył po konia, oczy mu się zaiskrzyły okrutnie.

— Zabiję! — wołał. — Wiem ja, kto to mógł uczynić, wiem! Ano, biada mu!

Dopędzę, zabiję, nie ujdzie mi z życiem, choćby się pod ziemię skrył, spod ziemi go dobędę! Nie ujdzie mi!

Aż wtem zmiarkowawszy, iż sam jeden w pogoń się puścić nie może, nazad do izby się rzucił po Mszczuja.

Mszczuj, choć drzwi stały otworem i słyszał prawie wszystko, cale się nie spieszył, ledwie za jeden rękaw opończę wzięwszy, bosc nogi spod skóry dobywał.

— Wstawaj żywo! Na koń! Ze mną! Narzeczoną mi porwano! W pogoń iść musimy, gwałtownika zabić!

Mszczuj, jak siedział na posłaniu, tak się ani ruszał; głowę podniósł do góry, wzrok skierował na brata i patrzył nań, aż się wykrzyczy.

— A wieszże ty, kto ją porwał? — zapytał niedbale.

— Ty się jeszcze mnie pytasz! Ty! Alboż to nie wiadomo? Któż to mógł

uczynić inny a nie Tomko? — krzyknął Wszebor.

— Ano, może to i być — odparł brat spokojnie. — Więc kiedy ci ją wzięto i poszła za nim, nic nie krzyknąwszy, po dobrej woli, czyś ty oszalał rozbijać się za nią? A co ci po niej? Ludzie ci w oczy będą świecili, żeś ją wziął po drugim, co tobie niedogryzki swoje zostawił.

— Ubiję gwałtownika! Ubiję! — zaryczał Wszebor. — Krew zmażę mój

srom!

— Ubijesz go za to, że on tobie życie ocalił? — zawołał Mszczuj. — Hę? Czy twoje życie i lada dziewczyny nie warte?

Śmiał się Mszczuj obojętnie; z cudzej biedy dobrze mu się śmiać było. Wtem do drzwi otwartych przypadła Spytkowa.

— W pogoń chcecie iść za nimi? A, ja najnieszczęśliwsza! Jeszcze i was zabiją! Nie puszczę! Zapamiętały człek w obronie dziewczyny gotów siec i mordować! On was zabije! Ja nikogo w świecie nie mam, ino was jednego! Nie puszczę was! Niech się, co chce, sobie dzieje!

Wyrazy te i zimna krew brata ostudziły Wszebora. Padł na ławę z głową spuszczoną, klnąc tylko po cichu, a zębami zgrzytając i włosy targając na głowie.

Pięści mu się ścisnęły, oczy wychodziły z powiek, pot gorący kroplami ściekał po czole, nogami bił o ziemię.

— W pogoń nie pogonię, ale z tego domu precz musimy jednej godziny!

Zdrada mnie tu spotkała, nie gościna! Znać ich nie chcę! Mszczuj, wstawaj, na koń, jedziemy! Spać nie będę pod tym dachem, chleba z nimi nie rozłamię.

— A jedź — odparł Mszczuj — ino mnie daj pokój! Ja nie pojedę, bo nie mogę, koń mi wczoraj zakulał wszetecznie i ochoty nie mam. Czego ja się będę spieszył?

Spytkowa słuchała tej rozmowy, nie odstępując nieszczęśliwego, siadła nawet przy nim na ławie, jednym okiem płacząc jeszcze, a łagodnym głosem kojąc jego strapienie.

— Wyrzeknę się niewdzięcznego dziecka! — mówiła. — Na oczy jej widzieć nie chcę! Ale co się stało, to trudno odrobić! Kto wie, gdzie oni już dziś są i ślub pewnie im dał ksiądz. Uspokójcie się, pogadamy z sobą. Wy mnie tu tak nie możecie przecie porzucić, ja nieszczęśliwą zostałam sierotą, a kto mnie wesprze we wdowieństwie mym, jeśli nie wy?

Słyszac tak rozpoczętą rozmowę, Mszczuj opończę na się narzucił i wymknął

się do kulawego konia, samych ich z sobą zostawując.

Siedzieli tam na tej ławie bodaj ze dwie godziny; nikt im nie przeszkadzał.

Stało na tym, że się Wszebor koniecznie z Horodyszczu wybierał natychmiast, ale tylko za bramę. Dalej miał czekać na Spytkową i razem z nią jechać do Ponieca. Tak prosiła go pięknie, tak umiała i płakać, i oczyma zawracać, i różne postawy przybierać, że się Wszebor dał pociągnąć.

Do Ponieca, zdawało się, że jechać mogli bezpiecznie. Sobek już po dwakroć był tam wysyłany na zwiady. Zapewniał, że spokojniej być nie mogło nigdy, jak było. Ludzi się rozbiegło dużo, szkody się stały ogromne, ale i tam, jak w Borach, jak wszędzie, wszystko znowu do starego ładu wracało.

Wdowa chciała koniecznie obejmować majątność i gospodarzyć, w pomoc i na obronę ciągnąc z

sobą Doliwę, aby jej bracia Spytka z ojcowizny swej nie wyrzucili.

Wmawiała w niego, że on tę opiekę przyjął na siebie najuroczyściej, że nieboszczyk mu ją chciał powierzyć, a bodaj nawet przekazał. W jaki sposób skłonić potrafiła utrapionego Wszebora, żeby jej towarzyszył, to jej było tajemnicą, dosyć, że Doliwa przyrzekł.

Natychmiast z Horodyszczu wyruszywszy za wrota, nikogo nie żegnając, namiot sobie kazał rozbić na łące i tam na wdowę do następnego ranka miał czekać.

Cały ten dzień Spytkowa się żegnała z Belinami, usta się jej nie zamykały.

Mówiła głośno, to na ucho jednej, to po cichu drugiej, ścisła wszystkie, płakała, śmiała się, wzdychała, modliła, spieszyła, a o Kasi prawie mowy nie było.

Nazajutrz rano w małym poczcie, który jej dla bezpieczeństwa dodano, ruszyła Spytkowa w podróż do Ponieca w towarzystwie swojego opiekuna, który jechał jak struty, milczący, zły i blady.

W kilka dni potem Mszczuj, który na miejscu dla kulawego konia pozostał, zaręczył się uroczyście ze Zdaną, a na ten dzień Kasia z mężem z Borów przybyła.

Że się wesele nie odbyło, jak należało, więc obrzęd jego odłożono na ten czas, gdy Mszczuj przybyć miał po Zdane. Trzeba było gniazdo wprzód wysłać miękkie, nim się złote wprowadzi ptaszę.

Tak się skończyło, wesel dwojgiem zapowiedzianych, oblężenie Olszowego Horodyszczu, długo w podaniach miejscowych pamiętne.

Uplłynęło potem miesiący kilka, Kaźmirz król szedł zwycięsko, przywracając w kraju porządek i wiarę krzewiąc na nowo, witany wszędzie radosnymi pieśniami.

One żartobliwe swaty Spytkowej, dworującej sobie z ruskich posłów, ziściły się po zwycięstwie z pomocą Rusi otrzymanym. Z Kijowa obiecano posażną córkę Włodzimierzową, Dobrogniewę, która skarb wycieńczony bogatym wianem zasilić miała.

Czesi z rozkazu papieża cofali się, zagrożeni przez Henryka, z większej części krajów zawojowanych. Duchowni wracali, kościoły święcono na nowo. Łaskawszym okiem Bóg spojrział na srogimi klęskami wypróbowaną ziemię.

Jesień już nadchodziła i lasy się okoliczne złociły liśćmi pożółkłymi, gdy Belinowie na uroczyste syna wesele, na wesele córki razem, spraszać poczęli rodzinę i sąsiadów.

Mszczuj, który osobno mieszkał i gospodarzył, a z bratem się widywał rzadko, i od owego dnia, za przyjaźń Belinom okazaną, niemal od niego za zdrajcę był

miany, jadąc na wesele, poczuł się w obowiązku starszego brata, głowę rodziny, choć zagniewanego, prosić o błogosławieństwo. Jechał tedy zawczasu do niego, sposobiąc się do tego, iż niedobrze będzie przyjętym. Lecz co się mogło stać, to gotów był

przyjąć, a obowiązek względem starszego spełnić musiał.

U Wszebora, jak to wszystko zwykło było iść gorąco, dużo się zrobiło w małym czasie. Stało już odbudowane obejście całe, podostatkiem było psów i koni, czeladzi i zbroi.

Sam on właśnie z łowów powracał, gdy brat zajeżdżał w podwórze.

— Z pokłonem do was przybywam, z ręcznikiem i z korowajem — odezwał

się Mszczuj. — Na wesele was na Horodyszczce prosić nie śmiem, bo wiem, żeście gniewni na Belinów i na mnie za Kasię, ano błogosławieństwa swojego, jako brat starszy, mi nie odmawiajcie.

To mówiąc, Mszczuj jak przed ojcem ukląkł przed starszym bratem i głowę przed nim skłonił.

Wszebor go za ramiona pochwycił i uścisnął milcząco.

— Niech Bóg błogosławi! — rzekł krótko. — Chodź do domu! Dawnoś o mnie zapomniał, a ja, ty wiesz, nierad się kłaniam tym, co o mnie zapominają.

— I ja też — rzekł Mszczuj. — Bracie, jednej krwi jesteśmy!

Oba się rozśmiali weselej. Weszli do izby. Kazał Wszebor miodu podać, choć młodego, bo stary wypili gromady, ale mocnego. Uderzyli w kubki.

Długo jakoś nie szła mowa.

— No, a co byś ty powiedział — bąknął Wszebor — gdybym i ja się ożenił.

— Bracie miły, szczęścia bym życzył, jako sobie samemu.

— No to i życz! — rozśmiał się starszy. — Wiesz, z kim się żenię? Ano ze Spytkową! Nie unikniesz swojej doli. Wiedźma mnie opętała! Krasa i młodość prędko przechodzą! Prawda! Wdowa nie tak młoda, ale jeszcze dobrze się trzyma, a za serce mnie wzięła! Jak kto poczuje, że go miłują, przez wdzięczność miłować musi! A baba się we mnie rozmiłowała srodze!

I rzekł Wszebor po chwili namysłu:

— A co byś ty rzekł, żeby się trzy weseliska razem od były?

— Toć nie można lepiej! — krzyknął Mszczuj. — W pokoju i zgodzie

poczęłoby się życie nowe! Niech Bóg płaci!

Pocałowali się bracia.

— Jedźmyż do mojej baby jutro! — rzekł Wszebor. — Jak jej powiem, że tego żądam, uczyni, co ja chcę. W ogień by za mną poszła i w wodę. Zatem o brzasku jutro do Ponieca, babę na koń i dwór, a

wozy duchem wyprawim na Horodyszczę!

Stało się tak, jak Wszebor życzył; pociągnęli na ową pamiętną im dolinę, wśród której dni tak straszne przeżyli.

Wesela ze wszystkim obrzędem ówczesnym odbyły się w niedzielę. Pogoda im sprzyjała szczęśliwie, rycerstwa zjechało dużo i dworzec starego Beliny całę teraz inaczej wyglądał. W wielkiej izbie na dole, w której u ogniska siadywała starszyzna w dniach trwogi, zastawione były stoły dla gości. Wesoło szumiało i okrzykami rozlegały się podwórza.

Bezpieczeństwo już wszelkie było w kraju, żadnej napaści się nie obawiano, mogły więc bezpiecznie wrota wielkie całą noc stać otworem. Obyczaj był przecież taki, że po zachodzie słońca wielka brama się zamykała, a furta tylko była wolna, u której na straży stał pacholek. I dnia tego, choć raz wraz jeszcze nadjeżdżali sproszeni z daleka, bramę zaparto o mroku. Na Horodyszczu od smolnych ognisk i łuczyw gorzało tak, że z dala gdyby w płomieniach stało. Śród dobrej myśli, jedni u stołów miód i wino pili, drudzy młodsi do skoków się brali. Spytkowa też z młodym mężem nosiła się w koło tak, że jej córka niebardzo sprostać mogła. Co skoki ustały, to się pieśni rozpoczynały, a jak oboje znużyło, stawali wszyscy gromadą i śmieli się, wesoło podżartowując, zwłaszcza dziewczęta i chłopcy.

Wieczór był już zapadł dobry i zabawa coraz się stawała gwarniejszą, gdy i goście, co za stołem siedzieli, i młodzież w drugiej izbie, aż zadrżeli z przestachu.

Trzy trąby wielkim głosem, dziwnym, nieznanym ozwały się u bramy. Rogi i trąby sąsiedzkie po głosie łatwo rozróżniano, tych i głos, i granie jakieś było nieswoje a straszne.

W izbie wielkiej rzucili się wszyscy do mieczów w popłochu pierwszym, przypomniały się dni straszne, lecieli ku wrotom. Belina stał już na pomoście nad nimi, ale za ledwie nań wszedł, jeszcze prędej zbiegł wołając, aby bramy na rozcież otwierano.

— Król! Król! — rozlegało się po grodku całym.

Król to w istocie jechał. Obóz jego niedaleko stamtąd był rozbity w pochodzie.

Dano Kaźmirzowi wiedzieć, że się aż trzy razem wesela odprawiły na Olszowym Horodyszczu... i zjechał pan, aby się dobrą myślą podzielić ze starymi sługi i drużyną.

Na odgłos: "Król"! mężczyźni, niewiasty, dzieci, czeladź, ktokolwiek był na Horodyszczu, wybiegł, jak stał, ku wrotom i poczęto śpiewać a wywoływać:

— A witajże nam, witaj, Miły Panie!

Chyliły się głowy, podnosiły ręce, radość była niezmierna.

Król na siwym koniu jechał, odziany bogato, z łańcuchem na piersi, z pasem złotym, w szłyku sobolim, w płaszczu szkarłatnym. Za nim wojewodów dwu w kozuchach z kun, jedwabiem pokrytych, za nimi drużyna świetna i czeladź a pacholkiwie.

Król miał twarz tak wesołą, jakiej u niego nawet po największym nie widziano zwycięstwie. Patrzył dokoła i rękami też witał znajomych. Do strzemienia przypadł

stary Belina, ramię mu podawszy, aby się na nim sparł zsiadając, i tak go wiódł do izby oświetlonej pochodniami, a za nim szli i tłoczyli się wszyscy, by miłego pana zobaczyć. I ciasno się zrobiło w wielkiej izbie, jak nabił, bo nikt ustąpić nie chciał.

Gdy dla króla siedzenie przysposobiono, zdjął z głowy kołpak, oczyma wodząc dokoła.

— Gospodarzu! — rzekł. — Nie myślcie, żem ja tu do was jako gość przybył, zjechałem jako sędzia. Macie tu winowajców, którzy stanąć muszą przede mną.

Skinął Kaźmirz na starego Trepkę, który, głos przejąwszy, odezwał się:

— Tak jest! Miłościwy Pan ścierpieć tego nie może, aby wola jego i rozkaz nie był poszanowany. Zbliżcie się więc pozwani przed królewski sąd, wy, wdowo po Spytku, Marto, wy, córko Spytkowa, Katarzyno, i ty, Tomku Belino! Miłościwego Pana wolą było, ażeby Wszeborowi Doliwie dostała się córka Spytka, daliście na to słowo wasze i nie strzymali!

Chociaż Trepka nie w groźny sposób to mówił, spojrzeli na się wszyscy i nie wiedzieli, co mówić ani co poczynać. Tomko za rękę żonę ująwszy, która dnia tego piękną była szczęściem i radością wielką, przystąpił do króla i pokłękł.

— Jeżeli kto winien, Miłościwy Panie, to ja jeden. Ukaranie twe niech mnie spotka jednego!

Wszebor też się zbliżył i pokłonił.



— Ja u stóp królewskich za nim proszę, bo mi życie ocalił. A że krzywda mi się nie stała, dowodem, iżem dziś do ołtarza poprowadził tę, z którą tu stoję przed Tobą.

Król się uśmiechał.

— Bodajbyście tylko takim nieposłuszeństwem grzeszyli — rzekł śmiejąc się wesoło. — Ano się bez kary obejść nie może! — dodał, skinąwszy na jednego z drużyny.

Wystąpił tedy powołany, niosąc łańcuchy złote na rękę.

— Abyście winę waszą zawsze w pamięci mieli przytomną — rzekł — noście oto te łańcuchy, a gdy spojrzycie na nie, pomyślcie o mnie!

Poklękali wszyscy przed Kaźmirzem, który z kolei niewiastom i mężom kładł

na szyję przywiezione dary. Krzyki radosne rozległy się po zamczysku, i król, kubek z rąk gospodarza wzięwszy, pił za zdrowie nowożeńców.

I był ten dzień przez długie wieki pamiętnym pokoleniom następnym, jak owe dni grozy i trwogi, za które zapłacił sowicie.

KONIEC.

Kazimierz I Odnowiciel (1034 – 1058) wg A. Lessera.